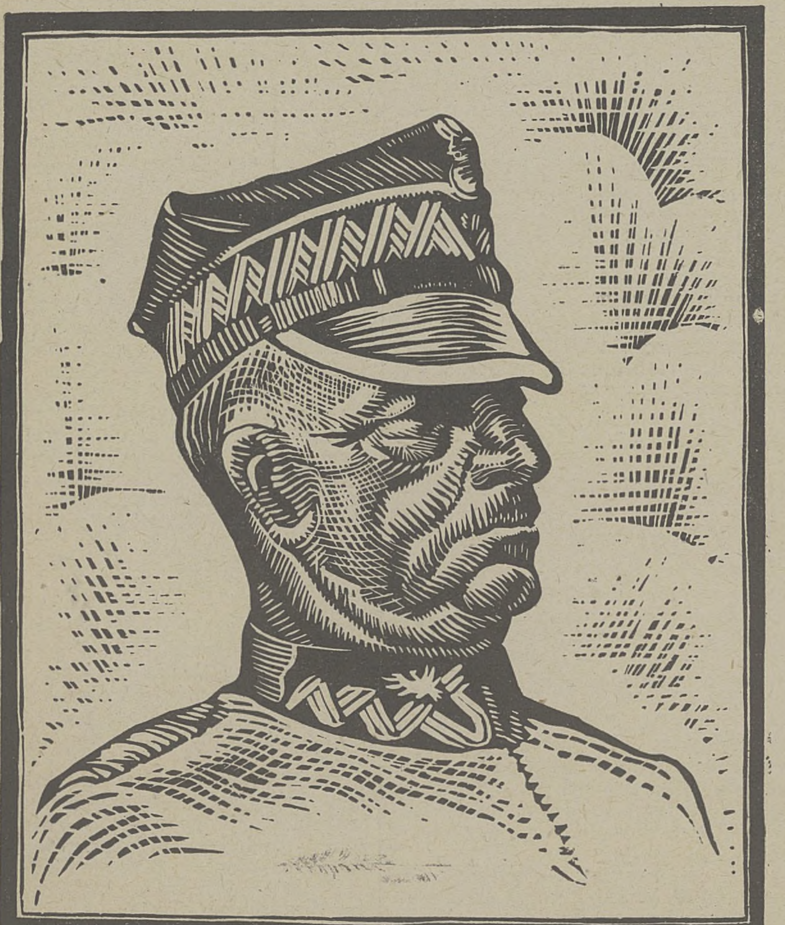
POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 1-go lipca 1944r.*** — **Rok VI. Nr. 26**

ŻOŁNIERSKA ŚMIERĆ



GENERAŁ SIKORSKI /linoryt Władysława Mireckiego/

Gdy tragicznego wieczora 4 lipca ubiegłego roku samolot, niosący polskiego Premiera i Naczelnego Wodza zapadł się u skały Gibraltaru w morze, od ciosu jęknął naród polski, drżenie poszło po innych narodach. W świadomości ogółu Polaków z każdym dniem narastał ogrom doznanej straty. Miliony przyjaciół naszych nie tylko z nami współczuły, ale bolały nad tą stratą jako własną.

Kraj, tak nawykły do zgonów i cierpienia przyjął wieść o tym zgonie z niewypowiedzianym bólem, głęboką żałobą. Od żalu skamieniały twarze żołnierzy naszych Sił Zbrojnych. W Armii Polskiej na Wschodzie wielu na straszną wiadomość klękało, modląc się za tego, który przywrócił im wolność i dał możność zbrojnej służby Ojczyźnie.

W chwili, gdy jeszcze na ziemiach naszych dogorywała bohaterska a beznadziejna walka orężna Warszawy, Modlina, Helu, resztek naszych armii, odpowiedzialność za losy sprawy naszej wziął na siebie Generał Sikorski. Nikt inny nie mógł w owej chwili stanąć u steru. Nikt inny nie łączył w tym stopniu zaufania Kraju z zaufaniem Zachodu, z którym Polska związała swe losy. Był Sikorski nie tylko wspaniałym niegdyś żołnierzem, zwycięskim dowódcą armii, twórczym i pełnym inicjatywy szefem Sztabu Generalnego a później ministrem Spraw Wojskowych, szefem Rządu w dobie groźnego kryzysu wewnętrznego Rzeczypospolitej. Był także przez dwa dziesięciolecia konsekwentnym rzecznikiem naszej ścisłej współpracy z Zachodem, czujnym strażnikiem wobec grożącego odwetu niemieckiego, tym, który przewidywał i ostrzegał. W dziedzinie czysto wojskowej był tym z Polaków, który najwcześniej i najpełniej rozpoznał ewolucję wojny, charakter wojny nadchodzącej, potencjał wojenny Niemiec i Sowietów. Tym, który miał odwagę widzieć prawdę i mówić prawdę. Nikt też nie mógł go przewyższyć wiarą nieustraszoną, oddaniem bezwzględnym sprawie, niespożytą energią w działaniu.

Zadanie, które stawało przed nim jako szefem Rządu było nadludzkie. Szło o ocalenie ciągłości naszego bytu państwowego. Szło o to, by utrzymać pozycję Polski, zalanej zupełnie falami najazdu, jako państwa wojującego wśród sprzymierzonych narodów. W czasie, gdy świat skłonny był sądzić, że Polska runęła w parę tygodni pod uderzeniami niemieckimi przez swoją niemoc wewnętrzną, nieudolność czy małą wartość jej sił zbrojnych, trzeba było pokazać, że Polska żyje, że żołnierz jej walczy dalej i że należy do najlepszych żołnierzy świata, że siły potencjalne narodu naszego istnieją i że zaważą jeszcze na losach wojny. Trzeba było w tym celu poruszyć wszystkie siły narodowe, będące jeszcze poza zasięgiem wroga. Trzeba było stworzyć i utrwalić polskie Państwo wygnańcze, związać je z Krajem, przygotować tam państwową organizację podziemną.

To zadanie realizował Sikorski jako mąż stanu. Jako Wódz Naczelny podejmował odbudowę naszych Sił Zbrojnych w oparciu o Francję i Wielką Brytanię. Dziesiątki tysięcy żołnierzy "wrześniowych" znalazły się poprzez liczne kordony i granice na ziemi francuskiej. Polska emigracja robotnicza we Francji dała dziesiątki tysięcy ochotnych, ofiarnych rezerwistów i poborowych. Ściągali ochotnicy i poborowi z innych krajów sprzymierzonych i neutralnych. W oczach wyrastała siła duża i realna.

Rodziła się w bólu i udręce, przy przezwyciężaniu ogromnych trudności. Ciężkie były warunki zimowania naszego świeżego wojska, nędzne wyposażenie, uzbrojenie przychodziło późno i nie odpowiadało wymogom tej wojny. Długo trwały starania o zgodę na utworzenie lekkiej dywizji pancernej; sprzęt dla niej przyszedł literalnie w ostatniej chwili. Nasze dywizjony lotnicze do ostatka nie doczekały się sprzętu.

W tych warunkach dojrzały jednak szybko do boju brygada podhalańska na wyprawę norweską, dywizja grenadierów, 2-ga dywizja strzelców, formowały się dwie dalsze dywizje piechoty, szkoliła się dywizja gen. Maczka, a przy francuskiej armii Lewantyjskiej w Syrii powstawała brygada Karpacka Kopańskiego. Sikorski całą duszą związał się z tym wojskiem zmartwychwstałym. Odżywał wśród niego, w Coëtquidan czy w innych obozach. Marzył, że tę armię sam w ofensywie poprowadzi ku Polsce.

Wierzył bowiem w zwycięstwo Francji i Wielkiej Brytanii. Nawet, gdy zaczęły walić się klęski, nie tracił wiary w zwycięski zwrot zaczepny. Wierzył może zbyt długo, gdy szło o tę kampanię. Nie mylił się co do przyszłego przebudzenia się i zrywu narodu francuskiego.

Jako Wódz Naczelny pragnął zachować siły polskie do chwili, gdy będą mogły wystąpić jako całość; jako mąż stanu rozumiał, że musimy być obecni w każdej kampanii Sprzymierzonych. Stąd wynikła sławna kampania narwicka i początek odysêi naszego żołnierza na Wschodzie. Ale gros — pięć dywizyj— miało możliwie w całości zebrać się do kampanii francuskiej. Dwie pierwsze dywizje zgodził się wysunąć na zaprawę polową na front, poza linię Maginota, na spokojne jak sądzono kierunki.

Przyszła bitwa francuska. Losy Polski rozstrzygały się raz jeszcze na polach Belgii i Francji. Położenie stało się od razu groźne. Przyszła chwila, w której wodzowie francuscy prosili, jak o ratunek, o garść świeżego wojska polskiego. Z ciężkim sercem przystał Sikorski na wydzielenie dwunastu przeciwpancernych kompanii zaporowych do dywizyj francuskich. Po dużym oporze zgodził się na użycie pierwszego rzutu dywizji gen. Maczka. Błyskawicznie rozwijały się wypadki. Niebawem zaangażowane zostały w obronę Bretanii bataliony szkolne z obozu Coëtquidan i wracająca z Norwegii brygada podhalańska.

Generał Sikorski długo nie dopuszczał nawet myśli, by Francja mogła kapitulować. Stanął wracając z frontu wobec faktu dokonanego, powziętej już fatalnej decyzji. Ani na chwilę nie było dlań wątpliwe, że Polska walczy dalej przy boku Wielkiej Brytanii. W tymże kierunku szły już decyzje Prezydenta Rzeczypospolitej i Rządu. Szło teraz o to, by ocalić co się da jeszcze z wojsk naszych, ogarniętych katastrofą Francji i przerzucić je do Wielkiej Brytanii.

Podjął ogromny wysiłek w tym celu. Część naszych oddziałów zdołała wyruszyć z portów La Rochelle i Rochefort. Ewakuacja na większą skalę była możliwa tylko przy podjęciu przez Admiralicję brytyjską w tym celu całej operacji, przy wyzyskaniu najdalej na południe leżących portów i przystani. Nastąpił przelot Naczelnego Wodza do Londynu. Zetknięcie się z Premierem Churchillem. Zapewnienie wzajemne, że pozostaną razem do końca. *Royal Navy* podejmowała akcję dla ratowania polskich Sił Zbrojnych.

Część tylko była do ocalenia i zdołała w porę osiągnąć ostatnie punkty załadowania. Szczęściem ocalały elementy bardzo cenne: całość lotnictwa, przeważna część formującej się lekkiej dywizji pancernej, artyleria przeciwlotnicza, większa część ośrodka szkolnego Coëtquidan, kilka innych oddziałów, dużo kadrowego elementu oficerskiego, podchorążych, podoficerów.

Odsunęła się na lata wizja zwycięskiego powrotu do Ojczyzny. Trzeba było potężnej wiary, by w ogóle nie zwątpić. Sikorski na chwilę nie zwątpił. Swą pewnością ostatecznego zwycięstwa i niezmożoną energią czynu zdobył sobie od razu u przewódców niezłomnego w przeciwnościach narodu brytyjskiego zaufanie, szacunek, pozycję godną przedstawiciela walczącej nieugięcie Polski.

Siły zbrojne trzeba było odtwarzać na nowo. Marynarka od początku wojny współdziałająca z brytyjską, już wsławiona i otaczana szacunkiem przez swych brytyjskich towarzyszy broni, nie była dotknięta katastrofą Francji. Lotnictwo ocalało z katastrofy poza stratami bojowymi i znalazło w ramach *Royal Air Force* odpowiednie warunki do szybkiej organizacji, przeszkolenia na nowym sprzęcie i wykazania swej wartości w śmiertelnych zmaganiach w powietrznej *Battle of Britain*. Te dwa rodzaje sił zbrojnych odtąd podtrzymywały ciągłość polskiego wkładu w wojnę. Na Średnim Wschodzie Karpacka brygada Kopańskiego złączyła się w Syrii z wojskami brytyjskimi i miała pierwsza pod Tobrukiem i Gazalą stworzyć fakt braterstwa broni Brytyjczyków i Polaków na lądowych polach bitew.

Szło jednak Sikorskiemu nie tylko o reprezentację zbrojną Polski w toczącej się walce. Szło o zapewnienie przyszłości polskich Sił Zbrojnych, przygotowanie ich przyszłego udziału w walce o wyzwolenie. Ocalałe z Francji szczątki wojska postanowił Sikorski zamienić naraz w wysoko wartościowe i nowoczesne narzędzie walki i w zawiązek nowych formacyj, dużą ich zdolność kadrową podnieść jak najwyżej; zarazem zaś postępować tak, by wojsko to nie było wyłącznie kadrą czy szkołą, ale w każdej fazie swego rozwoju siłą wolną, w potrzebie do użycia.

W parę tygodni po przybyciu do Wielkiej Brytanii poszczególne oddziały otrzymywały już doraźne zadania, w trzy i pół miesiąca Korpus polski — z nim sformowane w bataliony kadrowe brygady oficerów — obejmował duży odcinek wybrzeża Szkocji, jako część składowa broniącej jej armii. Nie wszyscy Polacy rozumieli cel i sens tej służby naszego wojska, czy też obsadzonych oficerami, rozrzuconych po Anglii i Szkocji pociągów pancernych. Nie wszyscy wiedzieli, że w owe czasy ten udział polskiego żołnierza w obronie Wielkiej Brytanii był wcale poważnym wkładem do wspólnej sprawy, że niebezpieczeństwo inwazji było bardzo realne, liczba wojska wyszkolonego i z zaprawą bojową szczupła w stosunku do ewentualnych zadań, do których odnoszono się tu nie jak do jakichś założeń manewrów czy gry wojennej. Nie zawsze również rozumiano, że na to, by uzyskać zgodę i środki na panceryzację i motoryzację wojska — co było od pierwszej chwili dążeniem Sikorskiego — trzeba najpierw wykazać, że to wojsko jest dobrze zorganizowane, dobrze wyszkolone, pewne i sprawne.

Wysiłki Wodza Naczelnego szły w kierunku zdobycia żywej masy żołnierskiej, niezbędnej do wypełnienia stworzonych kadr. Pamiętamy nadzieje, jakie przywiózł zza Oceanu, w części tylko spełnione, głównie napływem ochotników z Argentyny i innych krajów Ameryki Południowej. Za mało było tego, by wojsko polskie uczynić z powrotem poważną siłą.

Od chwili upadku Francji i rozlania się fal niemieckiego najazdu na cały zachód europejskiego kontynentu, Sikorski przewidywał nieunikniony konflikt między Niemcami a Rosją. Przewidywał konsekwencje dla Polski: nie tylko przekreślenie układu Ribbentrop-Mołotow o unicestwieniu Polski i jej rozbiorze, ale wejście Rosji w walkę z Niemcami jako sprzymierzeńca naszych brytyjskich i amerykańskich sojuszników i przyjaciół; możliwość porozumienia polsko-sowieckiego, oswobodzenia mas deportowanych Polaków, utworzenia w Rosji silnej armii polskiej. Doceniał niesłychaną doniosłość historyczną samego faktu wspólnej walki Polaków i Rosjan z Niemcami. Po raz pierwszy w dziejach mogło się wytworzyć polsko-rosyjskie braterstwo broni w walce ze wspólnym śmiertelnym wrogiem, jako zadatek przyszłej przyjaźni, zaufania i poszanowania wzajemnego obu narodów.

To też, gdy przewidywania się spełniły uderzeniem Hitlera na Rosję, Sikorski niezwłocznie wyciągnął dłoń do pojednania z Moskwą. Po kilku tygodniach doszło do zawarcia układu polsko-sowieckiego. Zarzucano, że nie był doskonały, twierdzono, że przedłużając rokowania, można było lepszy uzyskać. Sikorski był przekonany, że uzyskał to, co w danej chwili było możliwe. Zwlekać dłużej nie mógł. Jak zwierzał się później, zdało mu się, że słyszy wciąż głos tysięcy ludzi, żądających pomocy.

Wynikiem bezpośrednim układu było powstanie z masy jeńców, więźniów i wygnańców naszej armii generała Andersa. A chociaż nie wszystkie nadzieje związane z układem z Rosją się spełniły, armia polska musiała opuścić Rosję, a stosunki dyplomatyczne polsko-sowieckie zostały jeszcze za życia Sikorskiego przez Moskwę zerwane, pozostała wśród pozytywnych wyników układu silna Armia Polska na Wschodzie, wzmocnienie Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii.

W swoim rozkazie na 15 sierpnia 1942 r. mówił Wódz Naczelny o tych dwóch zgrupowaniach polskich Sił Zbrojnych na dwóch kierunkach przyszłego uderzenia na kontynent. Stworzył na ten moment jednostkę najszybszą, mogącą jak orły z powietrza uderzyć: silną formację spadochronową i wojska o największej sile przełamującej: formacje pancerne. Stworzył dalsze jednostki mające "rosnąć jak lawina na drodze do Kraju".

Zginął w chwili niezmiernie ciężkiej dla Polski, w chwili, gdy był jej bardzo potrzebny. Wracał od Armii Polskiej na Wschodzie, którą kochał najwięcej może ze wszystkich wojsk, jakimi dowodził. Wracał pełen zadowolenia z jej stanu, uzasadnionej ufności w jej przyszłość, nowej otuchy, jaką czerpał zawsze z zetknięcia się z siłą zbrojną narodową. Do przewalczenia miał niezmiernie wiele, w walce trudniejszej, niż żołnierska służba. Wracał do tej walki pełen pogody i wiary.

Nie wrócił. Ale jego wola zwycięstwa i wiara w Naród i Sprawę nie opuściły nas i nie opuszczą.

MARIAN KUKIEL

Szkic sytuacyjny

BÓJ O CHERBOURG

W chwili pisania tych uwag toczy się bój o Cherbourg. Wojska amerykańskie prące wzdłuż półwyspu cherburskiego uzyskały poważne zdobycze terenowe i znalazły się na obwodzie zewnętrznego pierścienia obrony. Port cherburski nadaje się dobrze do obrony. Zbudowany on jest w dużej mierze w skale, naturalna osłona wzgórz jest wspaniała. Napoleon uważał Cherbourg za wielkie dzieło swojego życia i porównywał molo rzucone w morze — do piramid. Francuzi uważali ten port za swojego rodzaju Gibraltar.

Opanowanie Cherbourga dawałoby wojskom amerykańskim i brytyjskim olbrzymie atuty. Nie tylko bowiem można by przez ten port "pompować" sprzęt dla dalszych operacyj, ale baza cherburska stanowiłaby punkt wypadowy dla floty brytyjskiej ku wyspom Kanału La Manche oraz dalej— ku południowo-zachodniemu brzegowi Francji: od Brestu aż po Biarritz. Usadowienie się sojuszników w Cherbourgu oznaczałoby nic innego tylko odcięcie Brestu, drugiego bastionu morskiego Francji /trzecim portem był Lorient/, umożliwiłoby lądowanie w kierunku na Biarritz, ku całemu brzegowi, który w odróżnieniu od "złotego brzegu" nosi miano "srebrnego".

Amerykanie postępują szybciej, aniżeli Anglicy, ale też opór, na jaki natrafili nie był tak silny. Na odcinku brytyjskim, koło Tilly i Hottot skupiły się główne siły pancerne Rommla. Opór niemiecki na tym odcinku jest bardzo ostry. Wynika to z faktu, że odcinek ten stanowi zawias /*hinge*/ pozycyj Rommla. Jeżeli ten zawias puści, wówczas droga dla marszu w głąb jest otwarta. Nic dziwnego, że aż cztery pancerne dywizje wroga na pięć rzuconych do boju w Normandii, znalazły się na tym odcinku.

Bombardowanie Cherbourga z powietrza przeprowadzono na olbrzymią skalę. Było to największe bombardowanie, jakie oglądały operacje w Normandii. Ponad 1000 bombowców wszelakiego typu runęło na umocnienia niemieckie. *Luftwaffe* szybko usunięto z walki, albowiem osłona myśliwców paraliżowała poruszenia Niemców. Niemiecka obrona z ziemi /t.zw. *Flak*/ była silna — i jest dalej silna — ale w wielu wypadkach rozbito baterie dział przeciwlotniczych.

W niespełna trzy tygodnie po lądowaniach w Normandii, Sojusznicy umocnili swoje pozycje, powiązali przyczółki , nasycili przestrzeń olbrzymią ilością sprzętu. Jak słychać, ilości sprzętu, jakie nagromadzono są wręcz fantastyczne. Stosunek wszelakiego sprzętu na jednego żołnierza, tonny materiału i żeglugi, które stoją za każdym żołnierzem są takie, że nie marzyło się o nich nawet armii niemieckiej na wstępie tej wojny. Przewaga sprzętu po stronie sojuszniczej zaczyna przybierać formy dla Niemców niepokojące.

"ROBOTY" LATAJĄ

Niemieckie bomby-roboty czy roboty-samoloty, nie przestały nas nawiedzać. Latają one za dnia i w nocy, przy czym opanowanie ich w nocy napotyka na większe trudności, aniżeli w dzień, szczególnie w dni jasne i słoneczne. Jeżeli jednak zważy się, że Niemcy wyrzucają setki tych "robotów" i że podobno ostatnio strzelają salwami ze swoich wyrzutni — trzeba pochylić czoła przed ogromem wysiłku brytyjskiego, który ma na celu osłabienie skuteczności działania tej broni.

Korespondent lotniczy *"Daily Mail"* zamieszcza dn. 23-ego czerwca ciekawy rozbiór, podkreślając, że Niemcy przygotowali bardzo starannie swoje wyrzutnie, że tylko część /podobno 25 procent/ tych punktów startowych unieszkodliwiono zupełnie — przez zajęcie terenu w Normandii. Wyrzutnie te nie weszły jeszcze w użycie, nie dostarczono im materiału, ale gdyby były one puszczone w ruch przed atakiem Sojuszników, to wtedy porty brytyjskie leżące naprzeciw — a więc porty tak ważne dla ataku na Francję — byłyby silnie wystawione na atak. Zajęcie Normandii okazało się zatem rzeczą ze wszech miar pożądaną.

Niemcy ciskają swoje "meteory", jak to zwie propaganda niemiecka, z okręgu Pas de Calais. W tym pasie, tłomaczy *"Daily Mail"*, Niemcy umieścili sporo wyrzutni, które są zamaskowane niebywale sprytnie. Trzeba by przetrząsać i bombardować wszystkie lasy, pola i wzgórza, pisze dziennik londyński, ażeby wykurzyć wroga z tych nor. Nory są podziemne, przy czym warto tu przypomnieć, że gdy pisano przed wojną jeszcze o niemieckich lotniskach podziemnych i t.d., rzeczy te były wyśmiewane. "Robot" niemiecki był chyba z dawna próbowany. Już w r. 1931 próby były daleko posunięte. W czasie wojny musiano pracować nad "robotem" gorączkowo. Laboratoria niemieckie w Peenemuende, skutecznie rozbite przez R.A.F., musiały niejedno przygotowywać w tej dziedzinie. Niemcy na pewno spóźnili się ze swoim wynalazkiem: chcieli oni mieć "robota" wcześniej. Dzisiaj jest to w dużej mierze "musztarda po obiedzie", chociaż *"Daily Mail"* słusznie wskazuje, że broń ta ma wagę militarną: przez to, chociażby, że pozbawia ludność spokoju, snu, że budzi zaniepokojenie.

Propaganda niemiecka grozi nowymi tajemniczymi pociągnięciami. Mogą one przedstawiać się jako powiększenie ładunku dynamitu czy ekrazytu w "robocie" /stwierdzono obecnie, że nie jest on kierowany falami radiowymi; działa on na podstawie t.zw. *jet propulsion*, czyli po polsku napędu odrzutowego/ — fakt, że Niemcy wprowadzili w życie ten wynalazek dowodzi, że tego rodzaju wynalazki są dzisiaj niejako wspólne; alianci ogłosili wynalazek *jet propulsion* niedawno, zastosowanie jego może być faktem najbliższych miesięcy. Przypomnijmy z innej dziedziny, że doskonały środek leczniczy zwany "penicilliną" odkryto w apteczkach *Afrika Korps* Rommla — środek niemiecki był pono nawet nieco lepszy od brytyjskiego.

Opanowanie "robota" nie będzie łatwe — a najlepszym sposobem jest zajęcie terenu skąd działają wyrzutnie. Oczywiście, Niemcy mogą przesunąć je dalej w głąb, ale wydaje się, że zasięg "robotów" jest na razie ograniczony. Mając przyczółki w Pas de Calais będzie można rąbać wyrzutnie "robotów" nie tylko lotnictwem, ale i artylerią.

SUKCESY NA OCEANIE SPOKOJNYM

Flota wojenna U.S.A. odniosła na Oceanie Spokojnym, między Filipinami a Wyspami Mariańskimi duży sukces. Zatopiła ona przy pomocy bombowców startujących z pokładów lotniskowców kilka jednostek japońskich. Ponadto żniwo samolotów japońskich było znaczne.

Dowodzi to, że potęga U.S.A. na tym obszarze stale rośnie i że walka na wyniszczanie wroga trwa. Amerykanie niszczą skutecznie maszyny japońskie, niszczą jednostki morskie, atakują szlaki komunikacji. Jest to wojna nękania, wojna, która wystawia Japonię na duże straty. Tego rodzaju wojna sprawia, że Japonia nie może się obwarować skutecznie przeciwko Ameryce, że jej władanie olbrzymimi terenami, jakie zdobyła, jest nieugruntowane. Ataki superfortec typu B-29 na rdzenną Japonię — przy czym bombardowano japońskie "Essen", ośrodek produkcji stali — także nie są dla Japończyków zbyt wesołą nowiną. Bazy chińskie zaczynają stawać się dla Japończyków dosyć niewygodne.

WOJNA FIŃSKA

Wojska rosyjskie dokonały szybkich postępów na froncie fińskim. Viipuri /Wyborg/ zostało zdobyte. Wojska fińskie, wyczerpane, niedostatecznie uzbrojone, pozbawione lotnictwa, cofają się. Nowe uderzenia sowieckie między jeziorami Ładogą a Onegą również poszczycić się mogą powodzeniami.

Pogłoski o zmianie rządu w Finlandii dalej utrzymują się; możliwość ta każdej chwili wydaje się bliska urzeczywistnienia. Premierem mógłby zostać albo Paasikivi, który dwukrotnie próbował montowania pokoju z Rosją. Inne doniesienia mówią, że premierem może zostać Ramsay, dotychczasowy minister spraw zagr. Finlandii. *"Daily Telegraph"* przyniósł dn. 23.VI. doniesienie ze Sztokholmu streszczające rzekome nowe warunki sowieckie. Nie wiadomo, czy są one ścisłe; ale jeden z punktów powiada, że Rosja domagać się będzie w każdym razie prawa przemarszu dla wojsk swoich przez teren Finlandii, ażeby ścigać jednostki Dietla.

Niemcy wyraźnie "puścili" Finlandię. Podobno jakieś samoloty *Luftwaffe* walczą na przesmyku karelskim, ale przewaga lotnicza Rosjan jest tak wielka, że nie znaczy to niemal nic. Siły lotnicze Rosji wyraźnie się wzmogły, Rosja używa swoich nowych bombowców. Amerykańskie maszyny przeleciały do Rosji z baz brytyjskich, co jest nowym dokonaniem. Dowodzi ono, że lotnictwo sojusznicze lata, jak chce i gdzie chce, na wskos i na ukos, wszerz i wzdłuż i że Niemcy są całkowicie bezsilni.

Strategia rosyjska dąży do uderzenia przez Finlandię na Norwegię — jest to cel całkowicie zrozumiały. Zaatakowanie Niemców w Norwegii byłoby nielada sukcesem. Umożliwiłoby to dopiero atak sojuszniczy od strony morza.

Od dnia 22-ego Niemcy mówią o ofensywie sowieckiej na środkowym odcinku frontu wschodniego. Rosjanie potwierdzili te doniesienia dnia następnego. Należy oczekiwać poważnych wydarzeń na kierunku ofensywy /okolice Witebska/.

ZAMORDOWANIE OFICERÓW R.A.F.'u

Pan Eden, minister spraw zagr. W. Brytanii oświadczył dn. 23-ego czerwca w Izbie, że 50-ciu oficerów R.A.F.'u, którzy usiłowali zbiec z obozu pod Sagan na G. Śląsku /obóz lotniczy nr. 3/ padli ofiarą Gestapo. Zostali oni zastrzeleni "z zimną krwią". P. Eden napiętnował ten czyn jako *"cold-blooded butchery"*.

Ten ponury mord otworzy na pewno oczy wielu obywatelom tej wspaniałej, optymistycznej wyspy, która wierzy w dobre odruchy natury ludzkiej. I my chcemy w nie wierzyć. Ale nie rozwiną się te odruchy, dopóki nie zostanie usunięte *barbarzyństwo Gestapo, szkoła nienawiści zwana Hitler Jugend, SS i SA i te wszystkie kadry nikczemności i zezwierzęcenia, jakie zasiał Hitler i jego szajka.* Mord pod Sagan winien być zanotowany i komentowany.

Takie właśnie fakty sprawiają, że ogół brytyjski, któremu obca jest brutalność, który nie chce wierzyć w sadyzm ludzki, przekonuje się, że ma do czynienia z przeciwnikiem co najmniej osobliwym, do którego trzeba zastosować także — osobliwe środki.

Londyn, dnia 24-ego czerwca 1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

P.S. Już po napisaniu tego przeglądu Niemcy przyznali się do oddania Cherbourga — "z powodu braku amunicji". Jest to fakt, który otwiera nowe perspektywy w działaniach inwazyjnych.

Z tygodnia na tydzień

19 c z e r w c a : *W nocy z 18/19 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad morzem. Jedna z załóg zaatakowała nieprzyjacielski okręt podwodny, który prawdopodobnie zatopiła. Tej samej nocy polski dywizjon bombowy lekki bombardował drogi i koleje na terenach okupowanych przez nieprzyjaciela. Wszystkie samoloty powróciły.*

—We Włoszech Sprzymierzeni zajęli Perugię, Assyż, Bastię, Offida.

—Wojska francuskie zajęły Elbę.

—Samoloty amerykańskiej marynarki wojennej stoczyły bitwę z flotą japońską na wschód od Filipin.

—Prezydent R.P. dekorował odznaczeniami polskimi pięciu oficerów amerykańskich za zasługi oddane Polskim Siłom Zbrojnym.

—Z nocą z 19/20 rząd brytyjski zniósł ograniczenia przywilejów dyplomatycznych, wprowadzone z 17/18.IV. b.r.

20 c z e r w c a : *Wojska brytyjskie zajęły wieś Tilly w Normandii, o którą walki toczyły się przez 10 dni.*

—We Włoszech zajęto Civitella, Ripa i Cupra Mafrittima.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały pola walk w Normandii. W czasie tych działań zestrzelono trzy F.W.-190.

—Wojska sowieckie zajęły Wyborg.

21 c z e r w c a : *Cherbourg został otoczony przez wojska amerykańskie. Walki toczą się na przedmieściach.*

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało Berlin. W działaniach tych wzięło udział ponad 1.000 bombowców, które osłaniało 1.200 myśliwców. Walki powietrzne toczyły się nad granicą polską. Część samolotów po wykonaniu zadania lądowała w bazach w Rosji.

—Ofensywa sowiecka w Finlandii toczy się na płn. od jeziora Onega i między jeziorami Onega a Ladoga.

22 c z e r w c a : *Oddziały VIII Armii zajęły nad Morzem Adriatyckim Fermo, Pedaso, oraz dotarły elementami czołowymi do Montecosaro.*

23 c z e r w c a : *W Moskwie ogłoszono, że Czerwona Armia rozpoczęła ofensywę na środkowym odcinku frontu, na płn.-zach. i płd-zach. od Witebska.*

—W nocy z 22/23 polski dywizjon bombowy ciężki atakował wyznaczone cele wojskowe, a polski dywizjon bombowy lekki bombardował szlaki komunikacyjne na terenie okupowanym przez nieprzyjaciela. Wszystkie załogi powróciły z tych działań.

—Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały patrole ofensywne i atakowały wyznaczone cele w rejonie Caen i Evreux. W czasie tych działań piloci polscy zestrzelili pięć samolotów niemieckich.

—Minister A. Eden oświadczył w Izbie Gmin, że oficerowie lotnictwa brytyjskiego i Sprzymierzonych, m.in. polskiego ze Stalagu Luft III zostali zamordowani przez Gestapo.

—Naczelny Wódz był na ćwiczeniach Polskich Oddziałów pancernych i piechoty.

24 c z e r w c a : *Ogłoszono, że od dnia 19 bm. II Korpus Polski, po krótkim wypoczynku, bierze znów udział we walkach we Włoszech w ramach VIII Armii, na odcinku frontu nad Morzem Adriatyckim.*

—Piloci z Polskich Dywizjonów Myśliwskich w czasie działań nad Normandią zestrzelili sześć samolotów na pewno. Jeden pilot polski nie powrócił.

25 c z e r w c a : *Niemcy podali, że Amerykanie zajęli miasto Cherbourg.*

Nowości lotnicze

Na pierwsze miejsce wysuwa się znowu pytanie: gdzie jest *Luftwaffe*? Zagadnienie to jest naprawdę skomplikowane. Czyżby nerwy Hermana Goeringa były aż tak dobre, że dopuszczałby świadomie do rozgramiania własnych sił na ziemi, licząc w dalszym ciągu na ważniejsze okazje? Kiedyż nadarzy się ta okazja?

Armie Sprzymierzonych rozszerzają poważnie przyczółek i wykurzenie ich z tak szerokiego terenu wymagałoby dziś operacji na naprawdę olbrzymią skalę, przy wielkiej przewadze zarówno na ziemi jak i w powietrzu. Kiedy Rommel będzie starał się zebrać taką przewagę? W jaki sposób? Kosztem frontu wschodniego? W tej chwili poważnym zagrożeniem tyłów niemieckich jest klęska fińska, której z natury rzeczy Hitler negliżować nie powinien. Czyżby kosztem frontu włoskiego? Cóż na tym froncie ma on do stracenia? Przypuszczać należy, że niewiele. Tam można liczyć jedynie na pewną oszczędność w siłach okupacyjnych, lecz czyż straty kampanii włoskiej w materiale, zabitych, rannych i jeńcach już w tej chwili nie przekreśliły nadziei na jakąkolwiek bądź oszczędność? Ten front raczej należy wzmocnić, niż go osłabiać . . .

Jeden z jeńców niemieckich powiedział: "Jeżeli utrzymacie się na przyczółku jeden miesiąc, będziemy wiedzieli, że jesteśmy pobici, lecz bardzo wątpię, czy zdołacie się utrzymać miesiąc". Do tej chwili Alianci trzymają się już przeszło dwa tygodnie. Byłby już najwyższy czas zacząć przeciwuderzenie, gdyż jeżeli minie rzeczywiście okres miesięczny i nic się nie stanie, moral niemiecki może upaść, jeśli jeszcze nie ostatecznie, to w każdym razie bardzo, bardzo poważnie.

Ostrożność nakazywana w ocenie przereklamowanej broni powietrznej, jaką są latające bomby, wskazuje wyraźnie, że społeczeństwo niemieckie zareagowało zbyt szybko i zbyt histerycznie na wiadomość o użyciu przeciw Aliantom "straszliwej, a sekretnej broni". W pismach nieprzyjaciela pojawiło się mnóstwo ostrzeżeń, by nie przywiązywać do "Kiwika" zbyt wielu nadziei. Rzeczywiście broń ta, dotychczas niespotykana, o dużej sile niszczącej, jest bronią jedynie i wyłącznie moralną. Bez żadnych propagandowych optymizmów twierdzić można z całą stanowczością, że nie przyczyni się wiele do zmiany położenia na froncie, a przede wszystkim nie może być użyta bezpośrednio przeciw wojskom inwazyjnym, ani też przeciw inwazyjnym bazom.

W tej chwili "robot powietrzny", jak go nazywają Brytyjczycy, nie stanowi już żadnego sekretu w swej konstrukcji. Mam na myśli typ dotychczas użyty. Jest to samolot o napędzie odrzutowym /nie należy mieszać go z rakietowym/; rozpiętość skrzydeł wynosi 5 metrów, długość kadłuba około 7 metrów; szybkość jest bardzo znaczna, bowiem sięga 600 klm na godz. Kierowany jest, podobnie jak torpedy morskie, systemem żyroskopowym. Żyroskopy otrzymują napęd ze zbiorników ściśnionego powietrza, umieszczonych w środku kadłuba. W głowicy samolotu znajduje się ładunek wybuchowy o wadze rozmaitej, mniej więcej od 400 — 1000 klg. Materiał wybuchowy jest bardzo wydajny. Działa głównie podmuchem, gdyż ścianki istotnej bomby są bardzo cienkie, a odłamki nie są groźne.

Brytyjczycy od dawna byli przygotowani na niespodziankę od strony Boulogne, nie można było jednak z powodu braku dokładnych wiadomości o właściwościach lotnych tajemniczego "robota", przedsięwziąć przeciwdziałania na bardzo szeroką skalę.

Do ostatniej chwili nie było także wiadomo, czy "robot" będzie sterowany za pomocą fal radiowych, czy też automatycznie. Gdyby Niemcy zastosowali kierowanie radiowe, przeciwdziałanie byłoby znacznie łatwiejsze z chwilą znalezienia częstotliwości stacji kierujących.

Niemcy nie zastosowali jednak takiego kierowania, woleli zaryzykować wielki rozrzut i brak kontroli nad raz wypuszczonym pociskiem, niż ewentualność, że "roboty" będą wracać z drogi i bombardować wysyłających. Nie należy więc dziwić się Niemcom, wiedzą przecie doskonale, że wiedza techniczno-radiowa stoi w Wielkiej Brytanii niewspółmiernie wyżej niż w Niemczech. Jednak zrezygnowanie z kontroli nad tak pomyślanym pociskiem odbiera mu w zasadzie znaczenie taktyczne, przemieniając go równocześnie na broń o znaczeniu ściśle propagandowym, broń terroru.

Dlaczego użyto tej broni dopiero teraz, a nie wcześniej? Wszak o ile wiadomo, Niemcy przystąpili do jej produkcji już w 1942 roku.

Przyczyny, jak się domyślamy, są rozmaitej natury. A więc były z początku pewne trudności techniczne ze zrealizowaniem masowej produkcji, był to bowiem czas, kiedy *Luftwaffe* zmieniała swój charakter z ofensywnego na defensywny, wobec tego wszystkie ręce były potrzebne do produkcji myśliwców. Równocześnie rozszerzano produkcję zapasowych części do samolotów, oraz organizowano parki naprawy.

Tutaj dodamy pewien ciekawy szczegół: otóż Goering, przygotowując "Blitzkrieg" lotniczy, wojnę krótkotrwałą, uważał, że naprawa samolotów, remonty i t.d. są zbyteczne, gdyż zabierają zbyt wiele czasu i rąk robocznych. Dlatego *Luftwaffe* nie odsyłała zniszczonego sprzętu do remontu, lecz na łom. Uszkodzony samolot wymieniano na nowy. Taki kosztowny system jest co prawda prosty, lecz wymaga olbrzymiej produkcji. Tymczasem przy przedłużającej się wojnie, niedościgniona produkcja niemiecka okazała swą "Unzulaenglichkeit", niedostateczność. *Luftwaffe* stanęła wobec konieczności napraw, remontów i wobec potrzeby części zapasowych, a więc zorganizowania zupełnie odmiennego, niż dotychczasowy system zaopatrzenia. Takie przestawienie gospodarki w czasie wojny jest niezmiernie trudne.

Wracamy jednak do spraw "Kiwika". Produkcja jego ruszyła w roku 1942 lecz kulawo. Potrzebny zapas był gotowy dopiero na lato 1943. Przystąpiono tedy do organizowania operacji, budując od Dieppe do Abbeville betonowe wyrzutnie i zespoły potrzebnych budynków i składów. W tym momencie jednak powstała różnica zdań między Goebbelsem a niemieckim A.O.K. w sprawie użycia "Kiwika".

Goebbels chciał wyrzucać bomby latające zaraz, gdy zdaje się Rundstaedt sprzeciwił się temu stanowczo, żądał masowego użycia, lub zrezygnowania z broni nie dość doskonałej, by mogła działać istotnie, a więc nie tylko propagandowo; by mogła swą siłą przygnieść przeciwnika do ziemi.

W trakcie tej sprzeczki nastąpiła interwencja czujnych Aliantów. Zaczęły się systematyczne ataki R.A.F., prowadzone bez przerwy, taktyką precyzyjnego bombardowania, i one to właśnie już definitywnie uniemożliwiły użycie nowej broni w wielkich masach.

Użycie jej obecnie miało na celu nie tylko próbę sterroryzowania Anglii. Przede wszystkim stanowiło ono dla Goebbelsa niezbędnie potrzebną pożywkę dla podniesienia nastrojów w narodzie niemieckim. Poza tym, z użyciem nowej broni wiązały się ściśle strategiczne nadzieje. Uporczywymi atakami na Londyn i południową Anglię chciano odciągnąć z pola walki lotnictwo alianckie. Wreszcie chciano zmusić Aliantów, używając do tego presji opinii brytyjskiej, by następne lądowanie inwazyjne przeprowadzono na rejon Boulogne-Dieppe, teren najlepiej ufortyfikowany i najbardziej zdolny do obrony. Tutaj Niemcy pomylili się zasadniczo. Opinia brytyjska nie będzie dyktowała niczego kierownictwu wojsk alianckich. Brytyjskie władze wojskowe nie potrzebują poparcia propagandowego dla swych posunięć. Niemcy zawsze robią ten sam błąd w ocenie wszystkich narodowości: sądzą je według siebie.

Trzeba przyznać, że walka z "Kiwikiem" jest trudna. W tej chwili jednak wysiłki alianckie w celu zwalczenia tej broni dają bardzo poważne rezultaty i są wszelkie nadzieje, że działanie "wariatów" jak je Polacy znowu ochrzcili, zostanie opanowane w dostatecznej mierze.

Zupełną ma rację komentator niemiecki stwierdzający, iż "Kiwikiem" nie wygra się wojny.

M. J. GORDON

29 CZERWCA

Na ten dzień przypada doroczne Święto Morza. Zwyczajem od wielu lat ustalonym na naszych łamach kierujemy w tym dniu myśli ku Kolegom z Marynarki Handlowej, przesyłamy im słowa serdecznej pamięci i braterskiej solidarności w walce o Polskę Morską — opartą mocno o morze, związaną z szerokim światem, z jego życiem, twórczością i bogactwem. Załogi polskich statków torują drogę do takiej Polski.

1 LIPCA

Dywizjon Bombowy Ziemi Mazowieckiej obchodzi w tym dniu czwartą rocznicę sformowania na ziemi brytyjskiej. Szedł on w awangardzie ofensywy, która narastała przez lata i w ostatnich tygodniach przybrała kształt ostateczny. Był tym, który wziął udział w pierwszej wyprawie dziennej na Le Havre.

Żołnierzom Dywizjonu życzymy dotrwania w tej wspaniałej formie do dnia powrotu na polskie niebo.

Polska — żywymi oczami *

Pożywienie, odzież, opał



Bezdomny chłopiec

Została w Warszawie, Lwowie, Krakowie, w małym miasteczku polskim i na wsi — kobieta, która musi na dom zarobić, matka, która pragnie dzieci wychować. Więc to co najtrudniejsze: wyżywić i ubrać.

Na kartki Niemcy dają chleb, ziemniaki, marmeladę, mydło, proszek do prania. Tłuszcz uznano za najzupełniej niepotrzebny. Przez cały czas wojny nie dali go ani razu. Mięso, cukier, mąka zjawiają się dwa trzy razy do roku przed świętami po 10 dk. na osobę.

Chleb wojenny w Polsce jest czarny jak ziemia, lepki jak glina. Lgnie do noża przy krajaniu, oblepia zęby, cięży w żołądku długie godziny do jedzeniu. Jest w nim dużo rozmaitych składników: łubin, kasztany, trociny, najmniej mąki. Makę do wypieku przydziałowego chleba Niemcy wydają wtedy, gdy zaczyna się psuć w magazynach wojskowych. Trzeba wtedy rozbijać twarde, mokre grudy, mleć po wysuszeniu raz jeszcze.

W pierwszym okresie wojny trudno było z tego materiału wypiec coś choćby podobnego do chleba. Na ladach t.zw. sklepów przydziałowych leżały płaskie, ciężkie placki, spękane z wierzchu, lepkie i wilgotne w środku. Troskliwi niemieccy dobrodzieje sprowadzili z *Vaterlandu* fachowców do namiastek, którzy mieli nauczyć naszych piekarzy wypieku.

Chleb ten czarny i ciężkostrawny jest i tak w wielu domach podstawą wyżywienia. Brak go zresztą wiecznie, przydział wynosi 15 dk. dziennie dla dorosłych, 10 dk. dla dzieci.

Ziemniaków dają więcej, racja waha się w zależności od urodzaju. Stosunkowo wysoka norma tłumaczy się trudnościami transportu. Nie brak zresztą szykan, które obniżają wartość przydziału. Ogłoszenie zjawia się w ostatniej chwili, kartofle trzymane miesiącami na zimnie gniją, długie ogonki ludzi z workami na plecach, z wózkami ręcznymi czekają godzinami na wydanie. Po przebraniu zostaje zwykle połowa przydziału.

Z reszty kartkowych skarbów: marmelada jest rzadką buraczaną mazią z sachapyną, proszek do prania — sodą. Bure cegiełki mydła, czasem lepkie i miękkie, czasem szorstkie, trące ostro jak piasek, nadają się najwyżej do umycia rąk.

Każda jesień jest batalią, wymagającą wielkiej pomysłowości i zaradności — od jesiennego zaopatrzenia spiżarni zależy przetrwanie zimy. Ciągłe rewizje i rekwizycje zniechęcają do robienia zapasów, mimo to należy zdecydować się na ryzyko strat, aby nie stanąć przed dniem głodu.

Starą sztukę garderoby można wymienić na kilka kilo masła, trudniej słoniny. Tłuszcz wytopiony w słojach musi starczyć do zimy. Stosunkowo najbardziej dostępny jest olej rzepakowy. Jeśli uda się znaleźć dobrze oczyszczony, jasno-żółty — przypomina w smaku oliwę, jest bardzo wydajny w użyciu. Najczęściej jednak trzeba używać oleju prawie czarnego, o bardzo dokuczliwym zapachu. Smaży się na nim placki kartoflane, z konieczności zresztą ludzie używają go do wszystkich potraw.

Na wymianę lub odrobek trzeba zdobyć nieco mąki, kaszy. Żółta drobniutka kasza jaglana, gruby pęcak, jęczmienna siekanka stały się główną potrawą na stołach polskich.

Co pewien czas nie można dostać soli. Biała sól w ogóle jest rzadkością, czarna, o dużym stopniu zanieczyszczenia, bardziej słona, znika nieraz na długie tygodnie ze sklepów.

Herbata ziołowa po paru latach używania wydaje się coraz lepsza. Dolewa się do wywaru z poziomkowych liści nieco sztucznej rumowej zaprawy — i zamknąwszy oczy, można to wypić. O smaku prawdziwej herbaty i kawy zapomnieli nawet Niemcy — znikła ona zupełnie z rynku już w drugim roku wojny.

Dokuczliwy jest brak cukru. "Krystaliczna sacharyna", sprzedawana chyłkiem przez chłopców na ulicach, jest droga i bardzo trudno ją dostać. Dzieci zwłaszcza tęsknią za słodyczami zupełnie dziś niedostępnymi.

Przy dużych dochodach można wszystko dostać w pasku, zwłaszcza w Warszawie. Ale tylko wyjątkowo przez los uprzywilejowani mogą wydać 200 zł. na kg. masła, 140 zł. na kg. cukru, 35 zł. na kg. starej nędznej wołowiny. Jajko kosztuje 7 zł., litr mleka 12 zł. Na chleb, mąkę i kaszę każdy już musi się zdobyć. I tu ceny są wysokie — około 20 zł. za kg.

Mimo to ludzie na ogół nie głodują. Zamożniejsi pomagają biedniejszym, wieś ratuje miasto. Oczywiście bywają rozpaczliwe przednówki na wsiach, tyfus głodowy w mieście. Polska nawet obrabowana przez okupanta, będąc w przewadze krajem rolniczym, zawsze jeszcze zdoła wyżywić swą ludność. Każdy skraweczek ogródka, nawet place miejskie zużytkowano pod jarzyny, żyto, kartofle. Każdy zarobiony grosz idzie na jedzenie. Wszyscy mają świadomość, że co dziś zjedzone, tego nam nikt nie odbierze, i że każdy posiłek może być ostatni.



Przebieranie zgniłego zapasu grochu

Poza brakami w produktach żywnościowych, trzeba się obywać bez wielu innych rzeczy trudnych do zastąpienia w gospodarstwie. Najdokuczliwszy i może najniebezpieczniejszy jest brak mydła. W pierwszych latach wojny prawie każda kobieta wyrabiała sama mydło do prania. Dla niektórych rodzin wyrób mydła stał się głównym źródłem dochodu. Podawano sobie wzajem recepty, mydło domowe stawało się coraz lepsze. Redukowano zbyt wielki w początkach procent wody, zaczęto wyrabiać nawet pachnące i barwione mydło toaletowe. Niestety w ślad za innymi tłuszczami zniknął również i łój, tak że i mydło domowe gwałtownie skoczyło w cenie i dla wielu stało się niedostępne.

Nie można zupełnie dostać gumy, igieł, nici, sznurka /poza papierowym/, papier jest racjonowany i to w bardzo skąpych ilościach nawet dla biur niemieckich.

Jedną z najczarniejszych stron życia okupacyjnego jest brak opału. Warszawa zimę po zimie spędzała w nieopalonych mieszkaniach, ceny węgla były zupełnie niewspółmierne z przeciętnymi zarobkami. Tona węgla kosztowała około 2.000 zł., zresztą uniemożliwiały dowóz trudności transportowe. Kraków położony blisko Zagłębia był w lepszej sytuacji. Węgiel kosztował 400 zł., 600 zł. za tonę. Na ogół można było się zaopatrzyć, w skromnych oczywiście ilościach, przez firmę, w której się pracowało.

Pierwsze lata ludzie ratowali się piecykami elektrycznymi. Jednak już w trzecim roku wojny Niemcy wyznaczyli kontyngent zużycia elektryczności i gazu. Mimo niskich wymiarów /na dwa pokoje z kuchnią można było użyć 13 kilowatów miesięcznie/ piecyki dalej grzały — zwłaszcza w Warszawie, kuchnie gazowe umożliwiały gotowanie. Niemcy zestawiali obliczenia zadowoleni ze swej oszczędnej polityki i dopiero, gdy gazownia i elektrownia warszawska w dwa miesiące wyczerpały zapas koksu przeznaczony na rok — zorientowali się, że coś jest nie w porządku.

Uderzono tym razem dokuczliwiej: gaz i elektryczność włączano tylko na dwie, trzy godziny, a niektóre dzielnice, po parę miesięcy musiały w ogóle obywać się bez światła . . . Do mieszkań warszawskich przywędrowała teraz "koza" mała, dwufajerkowa kuchenka żelazna. "Koza" zużywa bardzo mało opału, można na niej gotować obiad nawet na igliwiu. Zato kopci niemiłosiernie i nadaje mieszkaniu piętno biedy, przed którą bronią się wszyscy uparcie i raczej skutecznie.

Przyodziać rodzinę w warunkach okupacyjnych trudniej czasem niż wyżywić. Piąty rok wojny, dzieci, którym kilka lat temu wystarczało byle co — dziś muszą mieć buty, ubrania, płaszcze. Z bąków, którym można było przerobić starą matczyną sukienkę powyrastali młodzieńcy i panny . . .

Kartek odzieżowych dla ludności polskiej nie ma zupełnie — nie widzieliśmy również nigdy kartek na obuwie. Przed wprowadzeniem racjonowania ludzie wykupywali w sklepach, co mogli, robiąc zapasy. Tylko że w czasie, gdy zapasy jeszcze można było robić — nikt nie miał pieniędzy.

Z braku przydziałów trzeba kupować w pasku. A ceny rosną z dnia na dzień. Przed rokiem za damskie buciki płaciło się 800 zł., za metr materiału wełnianego na ubranie męskie 4.000 zł. Pończochy można było dostać za 300 zł., metr lichutkiego perkaliku za 120 zł.

To też zmieniła się moda i dużo trzeba pomysłowości, żeby się nie tyle ubrać, ile przyodziać. Pruje się i przerabia wszystkie możliwe stare rzeczy. Dumania nad otwartą szafą z przedwojennymi ubraniami zastępują dawne niewieście grzebanie w rozrzuconych na ladach sklepowych balach jedwabiu i wełny. Pozostawione przez nieobecnych mężów ubrania przerabia się na kostiumy damskie, z podszewki można mieć piękną bluzkę jedwabną. Syn chodzi w przydużych czasem butach ojca, w jego codziennych ubraniach. Bo te najlepsze czyszczone, wietrzone, chronione przed molami czekają wiernie na powrót właścicieli . . .

Stara wełniana chustka da się przerobić na kusą sukienkę. Z samodziału przysłanego przez przyjaciół ze wsi szyje się kostium świeży, elegancki, tak sztywny, że można go w czasie roboty postawić na podłodze.

Z celofanowych sznurków wyplatają barwne bluzeczki, sukieneczki dla dzieci. Stare, podarte swetry, wielokrotnie prute, przeistaczają się w pończochy, rękawiczki, pilotki — z musu bajecznie kolorowe.

Od marca do listopada trzeba zrezygnować z pończoch i skarpetek. Drewniaki kryte kolorowym brezentem klepią po trotuarach, wprowadzając wakacyjny ton. Gorzej, gdy trzeba ślizgać się zimą po śniegu i zlodowaciałych drogach na tychże samych "wakacyjnych" podeszwach. Drewniaki, coraz bardziej nawet ulepszone, zginające się na podbiciu, ogromnie męczą nogi i nie dają ciepła.

Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja odzieżowa na wsi. Miasto miało większe zapasy odzieży, na wsi ludzie posiadali najczęściej po jednym ubraniu do pracy, jednym od święta. Całe lato dzieci biegają nago. Wieś wykupuje za niesłychanie wyśrubowane ceny starzyznę miejską, nie mając ze znoszonych szmat długiego pożytku przy ciężkiej pracy fizycznej. To też wieś w dużej mierze radzi sobie, fabrykując w domach samodziały, garbując skóry, tkając wełnę.

Dużym powodzeniem cieszą się potworzone w wielkich miastach "Punkty skupu". Są to sklepy, które skupują, gdzie się da starzyznę, piorą i łatają najbardziej zużyte rzeczy i odsprzedają je. Wszystkie te wysiłki są coraz trudniejsze w miarę przedłużania się wojny.

Panie w wielkich miastach mimo wszystko nie zatracają dbałości o wygląd zewnętrzny. Jest to bardzo zresztą ważne, bo dobrze ubranego człowieka mniej zaczepia policja, przyzwoite ubranie i pewna siebie mina zwiększają bezpieczeństwo na ulicy. Ładnie związana chusteczka zastępuje z powodzeniem kapelusz, na bronz opalone nogi — pończochy. Kwiatek i torebka z kolorowych sznurków dodaje świeżości przedwojennemu, "na trzecią stronę" nicowanemu kostiumowi.

Mimo to różnica w zewnętrznym wyglądzie miast jest uderzająca. Ulica poszarzała, zubożała . . .

MARIA BRZESKA

Para starców pozbawionych ogniska domowego



* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Powszedni dzień terroru" druk. w nr. 6, "Życie ulicy" druk. w nr. 7, "Wobec wydarzeń wojennych" druk. w nr. 8, "Dziecko i matka" druk. w nr. 10, "Kobieta w walce" druk. w nr. 11, "W domu" druk. w nr. 13, "Z Niemcami pod jednym dachem" druk. w nr. 14-15, "Humor w dniach grozy" druk. w nr. 17, "Wsi spokojna, wsi wesoła . . ." druk. w nr. 22 " Polski Walczącej" z b.r.

"Dragon" bierze udział w inwazji

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Wybrzeże Normandii, dnia 9 czerwca 1944 *r.*

Jak wiadomo z radia i z prasy, rozpoczęła się inwazja Europy i nasze okręty biorą udział w operacjach na morzu. Wczoraj właśnie usłyszałem w komunikacie radiowym, że Kierownictwo Marynarki Wojennej podało do wiadomości nazwy naszych okrętów i między nimi usłyszałem tak drogie dla mnie imię naszego "Dragona". Dziwne uczucie budzi się w człowieku, gdy słyszy choćby taką krótką wzmiankę. Nie zdaje mu się wtenczas, że to o okręcie mówią, że o całej Polsce mówią, ale że mówią właśnie o nim i tylko o nim. Takie to już uczucie własnej próżności. Przyznaję się do tego, zjawiło się we mnie, a mam powody sądzić, że i w sercach wielu innych moich kolegów. Tłumaczę to sobie w bardzo naturalny sposób: dobre imię okrętu jest dobrym imieniem każdego członka załogi; krzywda okrętu — jest jego krzywdą.

DOBRE PROGNOSTYKI

Wychodząc na inwazję, bardzo dobrze wróżyliśmy sobie i wróżymy nadal. /Pukam w drzewo, heblowane coprawda, ale innego nie mam pod ręką/. Złożyło się na to wiele powodów. Po pierwsze, ksiądz kapelan rozkazem Władz Przełożonych został wyokrętowany z "Dragona". Nie wiem dlaczego, ale utarło się przekonanie, że jeśli w bardzo ważnych operacjach asystuje ksiądz — operacja nie może się udać.

Można więc sobie wyobrazić naszą ulgę na widok spakowanych manatek księdza kapelana. Ulga ta, spowodowana była jeszcze innymi czynnikami, natury pieniężnej tym razem. Ksiądz kapelan na lewo i na prawo pożyczał marynarzom pieniądze, nie pytając nigdy o nazwisko petenta, ani też na co mu są potrzebne, choć wiem, że nikogo nie podejrzewał, iż musi sobie za pożyczone pieniądze marynarską kuchnię poprawić; nigdy też ksiądz kapelan nie upominał się o zwrot pożyczonych sum, ale też nigdy ich nie odbierał. Stąd jego wyjazd wywołał: nadzieję szczęścia i pomyślności w operacjach, radość, bo nie potrzeba będzie oddawać długów, no i smutek, że nie będzie można więcej od niego pożyczać gdy się ma spotkanie z Margaret lub Betty, a jest przed pierwszym. Ja osobiście należałem do dwu grup jednocześnie, do pierwszej i do trzeciej. Trudno w to uwierzyć, ale księdzu kapelanowi nie byłem winien ani grosza.

Innym prognostykiem udanych operacyj na morzu w czasie inwazji była nasza kotka. Zwykła, czarna kotka. Chodziła po pokładzie, kiwając się z boku na bok, tak jak to czynią młodzi marynarze, którzy kiwaniem się na lądzie i przekleństwami udowadniają cywilom, że na morzu już zęby zjedli. Pani Kotka spodziewała się dzieci i w dniu naszego wyjścia w morze, właśnie dziś tydzień, powiększyła swą kocią rodzinę siedmiorgiem czarnych, pstrych i burych, jeszcze ciągle ślepych — kociąt. Zastanawialiśmy się skąd się to kolorowe towarzystwo wzięło i potrochu wstydziliśmy się za naszą poważną członkinię załogi O.R.P. "Dragon", ale doszliśmy do przekonania, że sami nie jesteśmy lepsi i że prawo morskie odnosi się nawet do kocich załóg polskich okrętów. Radość też z powodu narodzin była wielka. Kotka wraz z potomstwem znalazła się w specjalnie na ten cel zrobionej skrzynce w korytarzu okrętowej Izby Chorych, aby mieć opiekę lekarską tuż pod ręką i aby nie dostał się do niej inny pupil okrętowy, z którym młoda matka nie żyła w wielkiej zgodzie jeszcze za swoich czasów panieńskich.

Pupilem tym, była nasza suczka okrętowa — Gaz. Jako przedstawicielka psiej płci pięknej w czasie postoju w jednym z portów Wschodniej Anglii przyjęła wizytę rasowego dobermana, będącego własnością samego admirała, komendanta portu, a w czasie wizyty, dotknęło i ją prawo morskie.

Tak się też stało, że Gaz była jednym z trzech znaków dobrej wróżby. Rodzina nasza powiększa się, więc nie może być obawy, aby dotknęło nas jakieś nieszczęście. Pewni ufności i wiary w zwycięstwo i w osobiste powodzenie, wyruszyliśmy jednego dnia w grupie silnych jednostek morskich. Nazwaliśmy to najsilniejszymi regatami w dziejach historii. Tej samej nazwy zresztą użyła Admiralicja Brytyjska. Moglibyśmy zaskarżyć ją o plagiat, lecz odnoszę wrażenie, że nazwy tej użyliśmy jednocześnie bez zapożyczania się: my u Admiralicji, Admiralicja u nas.

Na drugi dzień nastąpiło rozczarowanie. Zła pogoda, słaba widoczność, silnie wzburzone wody Kanału utrudniały, a może nawet uniemożliwiały poruszanie się małych jednostek inwazyjnych. Przyszedł rozkaz przesuwający termin ogólnych regat i dwadzieścia cztery godziny krążyliśmy w pobliżu, czekając na rozkaz wyruszenia.

INWAZJA SIĘ ROZPOCZYNA

Skończyłem wachtę o godzinie drugiej w nocy i położyłem się na łóżko. Wiedziałem, że niezadługo odezwą się sygnały ogłaszające alarm bojowy, tym razem już nie ćwiczebny. Odpoczywałem tylko piętnaście minut i nawet nie wiem, w jaki sposób znalazłem się w sterowni, gdzie mam stały przydział alarmowy. Jako podoficer kierujący uzupełnieniem personalnym w czasie akcji, mam rozkaz przebywania tam, jako że sterownia wydaje się najbezpieczniejszym miejscem, choć chciałem przebywać na pomoście i kilkakrotnie o to prosiłem. Właściwie na okręcie nie ma mniej lub więcej bezpiecznych miejsc. Wszystkie są takie same. Są tylko miejsca mniej lub więcej miłe. Gdy zimno, najmilszym miejscem jest maszynownia, gdy znowu gorąco — pokład. I tak zawsze jest, że maszyniści chcą być na pokładzie, a pokładowi chętnie by poszli do maszyn.

Do wybrzeży francuskich mamy zaledwie kilka mil. Ani jeden samolot niemiecki nie pokazał się jeszcze, ani jeden ścigacz. Morze wydawało się wymarłe. Rozmawialiśmy między sobą, co też Niemcy wiedzą o naszych zamiarach i jakie nam gotują przyjęcie. Nastawienie na okręcie wspaniałe: Duch i chęć walki niesamowite.

Las masztów posuwał się za nami i w koło nas. Barki inwazyjne jak kurczęta za kurą, a raczej jak kaczęta, pchały się powoli wprzód. Do brzegów było coraz bliżej, niebezpieczeństwo stawało się coraz bardziej widoczne. Wyszedłem na pokład, aczkolwiek przyznaję się tu ze wstydem, że zrobiłem to, jak to się mówi — "żytem". Nie mogłem się oprzeć ciekawości. Obawiałem się trochę Z.D.O. /Zastępca Dowódcy Okrętu/, lecz Papa, jak go nazywamy, przymknął trochę oczy na moje uchybienie, jako że wiedział, iż mam pociąg reporterski, a na okręcie nie mamy żadnego sprawozdawcy wojennego, co uważaliśmy za czwartą pomyślną wróżbę. /Smutne doświadczenie z "Garlandem"/.

Wybrzeże było zapchane barkami, kontrtorpedowcami i innymi jednostkami marynarki wojennej. Ogień artyleryjski własny, oczyszczał plażę i wybrzeża z nieprzyjaciela. Nie odezwała się jeszcze żadna bateria niemiecka. Zaskoczenie było kompletne — lądowanie odbywało się pomyślnie. Z upływem jednak czasu baterie niemieckie budziły się z zaskoczenia. Gdzieniegdzie padały pociski i słupy wody strzelały wysoko w górę. Zaczęliśmy krążyć, aby ustawić się w nakazanym z góry miejscu. Wchodziliśmy do akcji.

STRZELAMY DO BRZEGU

Wchodziliśmy do akcji, jak do parady w wielkie święto w tak zwanej "małej gali", z dwiema banderami, największymi banderami, jakie mieliśmy na okręcie. Załoga ubrana na granatowo w najlepsze mundury świąteczne. Fason tradycji, czy też tradycja fasonu. "Jak do komunii", jak się wyraził nasz Z.D.O. Byliśmy uroczyści i jeszcze więcej skupieni w sobie, w swej zaciętości, w tęsknocie wyczekiwania tylu lat, w nadziei odwetu. Trafia się okazja, nie można jej zmarnować.

I nadarzyła się zaraz. Jęknęły działa jedną salwą, drugą, a potem trzecią i piątą i tak przez czas jakiś, aż obserwator zawiadomił nas z lądu, że niemiecka bateria, która zagrażała lądowaniu naszych barek przestała istnieć. Pierwsze zadanie zostało wykonane w stu procentach. Z.D.O. ogłasza nam przez rozgłośnie podziękowanie i gratulację angielskiego Okrętu Flagowego. "*Well done*". Czy można sobie wyobrazić radość załogi? Pierwszy sukces zda się opancerzył nas płytami "Rodneya" a moc dał Samsona.

Zmieniamy miejsce i podchodzimy do innego celu. Wróg jednak czujny. Pierwszy rozpoczyna ogień i pierwszą niemal salwą obramowuje nasz okręt. Pociski padają przed nami i za nami. Następna salwa teoretycznie powinna trafić nas. Nie możemy jej jak się okazuje inaczej uniknąć, tylko przez zwrot i zmianę szybkości. Właśnie to dowódca wybiera. Uciszyć baterii nie możemy, gdyż zasięg naszych dział jest nieco mniejszy niż ich. Następna salwa z baterii niemieckich pada blisko, jakieś dziesięć yardów od okrętu. Mamy już rannych — trzech. Niewielu i niegroźnie. Jednego odnoszą do Izby Chorych, ma przedziurawiony mięsień prawej ręki, bez naruszenia kości, a dwaj po opatrunku pozostają na swych stanowiskach i w dalszym ciągu ładują działo. Okręt walczy nadal, bo walki nie przerwał ani na chwilę.

Cały dzień pomyślnie rozwijającej się inwazji krążyliśmy w koło i niszczyliśmy wspólnie z innymi okrętami angielskimi nadbrzeżne baterie. A strzelaliśmy celnie, bardzo celnie, lepiej niż na ćwiczeniach, lepiej niż nawet od nas wymagać było można. Nie zmarnowaliśmy ani jednego pocisku na próżno, ani jednego grama prochu. Co chwilę ogłaszają nam przez rozgłośnię: "Cel zniszczony. Cel ucichł".

Cały dzień także przetrwaliśmy w alarmie bojowym. Nadchodziła noc. Twarze wymęczone, oczy zaczerwienione od niewyspania i dymu wymagały odpoczynku. Słońce właśnie zachodziło. Od lądu dochodziły nas odgłosy walki i smużki dymu orientowały nas w postępach własnych oddziałów i miejscach toczących się bitew. Samoloty własne tworzyły ogromny parasol nad skupiskiem okrętów wojennych i inwazyjnych. Cała flota zakotwiczyła na noc w miejscu, gdzie dwadzieścia cztery godziny temu harcowały niemieckie ścigacze pod osłoną nadbrzeżnych baterii i niemieckich punktów obserwacyjnych. Dziś my tu jesteśmy i już się wyprzeć nie damy.

PATRZYMY NA NIEBO

Nadleciała nowa eskadra "Spitfire'ów" a za nią horyzont zaciemnił się od samolotów. Czegoś podobnego nie widzieliśmy w swoim życiu i nikt jeszcze nie widział. Jednym, nieprzerwanym łańcuchem dwu i cztero motorowych transportowców powietrznych ciągnęła Brytyjska Dywizja Powietrzna. Widok był tak groźny i niesamowity, iż chociaż wiedzieliśmy, że to nasze wojska, że to nasi żołnierze, sama groza setek samolotów z przyczepionymi do nich szybowcami przerażała nas i onieśmielała. Onieśmielała również Niemców, gdyż żaden strzał nie odezwał się z lądu zajętego jeszcze przez wroga. A szybowce odłączały się jeden za drugim i lądowały na oczach Niemców. Przybywało ich coraz więcej i coraz więcej.

Dopiero po niejakim czasie odezwała się niemiecka broń maszynowa cienkie nitki pocisków świetlnych zaczęły znaczyć drogę ich przelotu. Straty były niewielkie. Jakiś transportowiec po odłączeniu się od szybowca, płonąc, zniżał się ku ziemi. Za chwilę wyprysły dwa spadochrony, a samolot zginął w skupisku domów miasta widocznego jak na dłoni. Inny znowu, czteromotorowiec runął do wody i stanął w płomieniach. Jeszcze dalej, płonący samolot zawrócił na ląd i wylądował na widocznej przez nas polanie. Transportowce wciąż ciągnęły i ciągnęły nad Francję.

Zadumaliśmy się nad możliwościami Aliantów i potęgą ich lotnictwa. Posypały się skolei żarty, iż opłacałoby się nawet zapłacić bilet towarzystwu okrętowemu z Anglii do Francji, aby oglądać ten widok. Ze stanu tego wyrwał nas głos Z.D.O.: "Dalszy ciąg przedstawienia za dwa miesiące — w kinie". Poszedłem do sterowni i położyłem się na podłodze. Po zamknięciu oczu transportowce, jak czarne, groźne sępy wciskały mi się w najodleglejszę komórki mózgu.

—"Wachta morska — wstąpić!" — rozległ się głos przez rozgłośnię okrętową. Wziąłem hełm i udałem się na wyznaczone miejsce. Otaczała nas noc. Zza rufy dochodził dźwięk samolotu. Przyzwyczailiśmy się każdy samolot uważać za nasz, tak że nawet nie wiele zwracałem uwagę. Byliśmy ponadto w trakcie zmian wachty, a więc w zmniejszonym stopniu gotowości bojowej. Widoczność była słaba, gdyż stojące na kotwicy okręty osłaniały się na noc zasłoną ze sztucznej mgły.

Zza rufy na wysokości około czterdziestu metrów wyłonił się samolot dwu motorowy i aby nie natknąć się na maszt naszego okrętu, musiał wykonać zwrot w lewo. Sam, przypuszczam, był przerażony nagłym ukazaniem się okrętu. Bomby poszły w dół. Tuż, zaraz obok naszej lewej burty. Czmychnąłem przezornie do korytarza, nim eksplodowały. Odezwały się trzy groźne wybuchy bomb pancernych /opóźniony wybuch/ i "Dragon" trzy razy podskoczył do góry. W tejże samej chwili odezwał się nasz *oerlikon*, a za nim inna broń maszynowa i pompomy stojących obok nas okrętów. "Junkers 88" zginął w chmurach i mrokach nocy, przezornie nabierając wysokości. Noc spędziliśmy w alarmie bojowym, lecz nalotów nie było.

Drugi i trzeci dzień inwazji, taka sama robota. "Alarm bojowy — bombardowanie lądu" lub "Alarm bojowy — wspieranie własnych oddziałów". Zaczęło powoli ukazywać się nieprzyjacielskie lotnictwo. Od czasu do czasu pojawiał się samolot, pościgowiec najczęściej i robił troszeczkę zamieszania. Nigdy jednak nie zbliżył się na odległość skutecznego strzału. Od czasu do czasu odzywały się baterie niemieckie ukryte gdzieś we wgłębieniach urwistych brzegów Normandii lub domach zamienionych na umocnione stanowiska. Nie można było skoncentrować ognia, gdyż dokoła były wojska własne. A Niemcy trzymali się rozpaczliwie. Gdzieś, w rejonie pierwszych domów miasteczka nieznanej mi nazwy, wgryzła się w ziemię niemiecka bateria i każdą barkę zbliżającą się w kierunku plaży, raziła ogniem. Nie można jej było wymacać. I przetrwała tak przez dwa dni, aż trzeciego nasze wojska wykurzyły ją z lądu.

Bardzo ciekawy był dzień dzisiejszy. Jakaś bateria niemiecka usadowiona na wzgórzu jeszcze nie zajętym przez nasze wojska, ogniem swym nękała wyładowujących sprzęt. Nie można jej było uciszyć. Poszliśmy tam, aby zrobić z nią porządek. Nastąpiła wymiana strzałów. Na czas jakiś bateria zamilkła, a potem odezwała się znowu. Wzgórze, na którym była usadowiona, zostało zryte i widać było łysiejące już plamy lasem i krzakami zarosłego szczytu. Nie można jej jednak było dosięgnąć, gdyż jak się okazuje była to bateria ruchoma, która po kilku strzałach zmieniała zaraz miejsce postoju. My byliśmy widoczni, więc stanowiliśmy bardzo dogodny cel. Pojedynek więc nie zakończył się dnia dzisiejszego gdyż zostaliśmy odwołani dla wykonania innego zadania. Za chwilę rozległ się głos: "Na szesnaście salw — trzynaście w celu. Cel znikł".

Aktywność lotnictwa niemieckiego nie była wielka. Mówiąc "niewielka" — mam na myśli stosunek ich sił do sił naszych. Od czasu do czasu pojawiał się samolot niemiecki i starał się zaatakować czy to oddziały walczące na lądzie, czy też zgrupowaną na wybrzeżu flotę. Natychmiast nasze pościgowce wchodziły w akcję. Rozgrywały się bitwy powietrzne i ze zmiennym szczęściem to jednej, to znów drugiej strony samoloty waliły się w płomieniach na ziemię lub w wodę.

Nieraz lotnictwo nasze wchodziło do akcji z pewnym opóźnieniem. Występowała wtedy flota i niebo zaciemniało się chmurami dymu. Lotnicy niemieccy dokonywali rozpaczliwych wysiłków atakowania floty, naturalnie bez skutku. Uciekali się nawet do takich trików, których nie można nazwać rycerskimi, lecz "w wojnie i w miłości wszystko jest *fair*", jak mówi angielskie przysłowie. Jeden samolot goni drugiego i ten z tyłu, niby nasz, oddaje salwę z karabinów maszynowych do pierwszego samolotu. Wprowadza nas w błąd, gdyż aby nie razić własnego lotnika, zaprzestajemy ognia. Uciekający samolot kieruje się wtedy nad jeden z naszych okrętów i w odpowiedniej chwili obaj zrzucają serię bomb. Taki właśnie wypadek zaobserwowaliśmy wczoraj. Naturalnie od tej chwili obserwacja stała się bardziej wytężona i nie ufaliśmy już żadnym samolotom. Samoloty nasze były pomalowane w specjalne pasy, łatwo widoczne. Na drugi dzień Niemcy w taki sam sposób pomalowali swoje samoloty. Zaszła potrzeba przemalowywania własnych samolotów od nowa.

Tu też znalazłem jedno słowo w języku polskim, którego znaczenia nie doceniałem poprzednio. Najpiękniejsze słowo ze wszystkich używanych przez nas słów. Słowem tym jest słowo: "w ł a s n e". Gdy lotnictwo atakuje, a dowiadujemy się, że to własne, innego koloru jest nasza twarz. Gdy słyszymy odgłosy artylerii, a jest to odgłos własny — zdaje się nam, że to najpiękniejsza "Etiuda" Szopena Opus Dziesiąty. Gdy zauważymy czołgi na horyzoncie, a dają nam znać, że to są własne i abyśmy nie strzelali do nich, życzymy sobie, aby tych czołgów było jak najwięcej. "W ł a s n e" — to wielkie i kochane przez nas słowo. Dziwię się jak komunizm może się utrzymać, gdy ze swego słownictwa wykreślił to pojęcie.

DO ANGLII . . .

Otrzymaliśmy rozkaz udania się do jednego z portów dla uzupełnienia amunicji i paliwa. Odkotwiczamy, a za nami posuwa się jeszcze jedna, potężna jednostka floty angielskiej, która dała się Niemcom dobrze we znaki swoimi dalekosiężnymi działami. Mówiąc jeszcze o innych jednostkach floty, należy tu wspomnieć o jednej, bardzo dziwnej jednostce. H.M.S. X. Okręt ten nazwaliśmy Prokopienim. Ryczy bowiem przeraźliwie ze swoich potężnych dział, choć wygląda bardzo niepozornie. Dwa dni temu uciszył baterię, składającą się z sześciu dział, w ciągu kilku minut. Polubiliśmy go ogromnie.

Idziemy w kierunku Anglii. Na Kanale istny rząd taksówek, czy samochodów jak na Fifth Avenue w New Yorku. To uzupełnienie ciągnie do Francji. Powiadam, że gdyby te wszystkie statki i okręty ustawiono jeden przy drugim, można by zbudować most z Anglii do Francji na przestrzeni około stu mil i przebyć tę przestrzeń suchą nogą. Około dziesiątej przyjmujemy czterech rozbitków na nasz pokład. Oddaje nam ich korweta idącą w przeciwnym od nas kierunku.

Po drodze spotykamy statek szpitalny. Dziwne na nas robi wrażenie. Cały oświetlony. Zjawisko niespotykane na wodach angielskich w czasie wojny. Na tym statku znajduje się prawdopodobnie jeden z naszych pacjentów, Anglik, którego dostarczył nam u wybrzeży Francji jakiś kuter amerykański. Został ranny w barce inwazyjnej i przekazany nam. Śmieliśmy się, że tam uszedł śmierci, lecz będzie bardziej szczęśliwy, gdy cało wyjdzie z rąk naszego chirurga. Uszedł cało, choć strasznie poszyty i pocerowany.

W nocy rzucamy kotwicę. Idę spać bo jestem ogromnie zmęczony. Piętnaście razy przerywałem pisanie, bo tyleż niemal razy wchodziliśmy w kilkuminutową akcję i wychodziliśmy z niej. Teraz kończę, choć wiem, że jutro o tej porze już znowu będziemy w akcji tak jak parę godzin temu. Jesteśmy dobrej myśli.

I dziwnie się tu zbiegają daty. Osiemnastego czerwca 1940 roku opuszczałem Coëtquidan we Francji, gdyż Niemcy byli parę kilometrów od nas. Dwudziestego czwartego czerwca opuszczałem Francję, aby udać się do Anglii. Po czterech latach wracam niemal tą samą drogą, lecz mam nadzieję, nieco skróconą, choćby kilometrażem, jeśli nie czasem. Krótsza jest droga przez Niemcy, niż przez Włochy, Jugosławię i Rumunię.

STANISŁAW SIKORSKI

Bitwa o Piedimonte

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Kościół w Piedimonte. Figurę Marii Panny ustawili na nowo żołnierze polscy po zajęciu miasta

We Włoszech, maj 1944

Bohaterska walka żołnierzy Polskiego Korpusu o twierdzę Cassino zakończyła się zwycięsko. Sztandar polski powiewa dumnie od 18 maja b.r. na Klasztorze Cassino. Jednak boje Korpusu Polskiego nie zostały zakończone. Inna część oddziałów Korpusu wsławiła się zdobyciem zawiasu "Linii Hitlera" — fortecy, w którą Niemcy zamienili miasteczko Piedimonte.

SYTUACJA WYJŚCIOWA

Sytuacja w dniu 19 maja była taka:

Armia niemiecka pobita na "linii Gustawa" konsolidowała się gorączkowo na potężnej, rozbudowywanej od pięciu miesięcy "linii Hitlera". Korpus Polski wyduszał ostatnie punkty oporu na zachodnich stokach grzbietu Monte Cassino /S. Angelo/, zeszedłszy pewnymi oddziałami na zachodnią stronę grzbietu, zdobył miasteczko Villa Santa Lucia. Miasteczko to leży tuż na przedpolu ufortyfikowanej "linii Hitlera". I tak ostatni etap wygranej bitwy, w której przełamano "linię Gustawa" zeszedł się z pierwszym dniem działania przeciw "linii Hitlera".

W rejonie Piedimonte "linia Hitlera" robi zwrot pod kątem prostym, zmieniając kierunek z południowo-zachodniego na północno-zachodni. W miejscu tego zwrotu nieprzyjaciel wybudował nowoczesną twierdzę złożoną ze stalowych i betonowych bunkrów, wpuszczonych w cement dział przeciwpancernych największych kalibrów, schronów, pułapek, min i tego wszystkiego, na co inteligencja sapera — fortyfikatora mogła się zdobyć. Miasto to miało być filarem i kotwicą linii ufortyfikowanej, na której się miał opierać opór sąsiednich odcinków.

ZADANIE NASZYCH ODDZIAŁÓW

I wisiała ta potężna reduta nad dolinnym odcinkiem sąsiada, grożąc mu wszystkimi ogniami i żądłami przeciwnatarć. Tę redutę miały związać nasze oddziały. W tym celu stworzono specjalną grupę, dowodzoną przez zastępcę dowódcy Oddziałów Pancernych ppłk. B. Grupa miała zadanie: "Działać na Piedimonte, czym osłonić północne skrzydło sąsiada".

Dowódca grupy rozwiązał zadanie po polsku, a więc — przez natarcie. W pierwszym dniu natarcia zdobyto szturmem główną linię obronną stalowych bunkrów i włamano się w miasto.

I tu zaczęło się piekło. Zebraliśmy wszystkie ognie i te przeznaczone dla nas i te, które miały zatrzymać sąsiadów, bo oni jeszcze nie nacierali. Ogniami przeznaczonymi przeciwko sąsiadom dowódca nieprzyjacielski grał, jak swoim odwodem. W rezultacie sami walczyliśmy z potężnym odcinkiem "linii Hitlera". Ogień skierowany na nas w ciągu tych dwu dni był prawdziwym piekłem.

Mimo tego ognia, 22 maja znów uderza piechota wspierana i podprowadzana przez czołgi. Natarcie piechoty w godzinach popołudniowych wdziera się głęboko w miasteczko, opanowuje nawet częściowo główny punkt oporu — kościół. Ginie dowódca natarcia piechoty i czołgów, major T., gdy leżąc między dwoma czołgami dawał im dyspozycje. Ppor D. wszedł do samego kościoła, lecz tu opadnięty przez przeważające siły, bronił się 12 godzin w jednej z krucht kościelnych, by nad ranem przerwać się ze swoją garstką do własnych linii. Scena jakby wyjęta z historii oblężenia Saragossy. Bohaterowie tej sceny na pewno nie ustępowali w męstwie słynnym żołnierzom Chłopickiego, szturmującym hiszpańską twierdzę.



Rozbity bunkier niemiecki

SKUTKI PONAWIANYCH NATARĆ

Natarcie w tym dniu jeszcze nie zdobyło miasta-twierdzy, ale brawurą swoją oszołomiło obrońców do tego stopnia, że przeciwnik nie wykonał przygotowanych ogni flankowych przed nizinny odcinek sąsiada, nad którym tak wybitnie górował położeniem. Gdy nazajutrz sąsiad południowy — jedna z imperialnych dywizji brytyjskich — uderzył, miał on stosunkowo łatwe zadanie, ponieważ ognie flankowe, których tak się obawiał, w ogóle nie zostały położone. Przeciwnik w Piedimonte był zbyt zajęty rozpaczliwą obroną własnych stanowisk, by mógł sobie pozwolić na jakiekolwiek inne zadanie, niż bronienie własnej skóry. Lojalny sąsiad, wspomniana dywizja imperialna, przysłała specjalne podziękowanie za szczególnie skuteczną osłonę i pomoc w wykonaniu jej zadania.

Artyleria przez cały czas wspierała kolejne natarcia broni pancernej i piechoty. Po uzyskaniu wiadomości od ppor. D. położyła całą potęgę swego ognia na kościół, który się zawalił. Jeden z głównych punktów oporu został w ten sposób roztrzaskany. Zbierała ona za to masę ogni nieprzyjaciela. W ciągu jednego dnia na jednym z dyonów PAL'u armijnego, naliczyliśmy siedem nawał ognia artylerii nieprzyjaciela. Ale ani na chwilę nie ucichły działa naszych artylerzystów. Wreszcie lotnictwo niemieckie wykonało nalot na te stanowiska, ale artylerzyści byli niezmęczeni i nieustępliwie odpowiadali strzałem na strzał, lub dwoma strzałami na jeden.

Działa przeciwpancerne na podwoziach gąsienicowych podjeżdżały metodą Bema tuż pod pozycję przeciwnika i zasypywały go morderczym ogniem z bliskiej odległości.

Taka walka trwała pięć dni, aż wreszcie w dniu 25-go maja rano, zgnieciono resztki oporu i zdobyto miasto. Zdobyto filar "linii Hitlera", na który miano działać wiążąco. Impet narodowy poniósł i zrobiliśmy więcej, niż od nas wymagano.

ŻOŁNIERZE, POLE BITWY I BROŃ

Było to dziwne zgrupowanie. Składało się ono z oddziałów, które się nigdy nie widziały, nieraz nie wiedziały o swoim istnieniu. Oficerowie przeważnie również się nie znali. Ale wszyscy byli stopieni w jedną całość przez magię wpływu dowódcy, który świecił przykładem i był wszędzie gdzie było niebezpiecznie. Sylwetka tego dowódcy, który pieszo prowadzi swoje czołgi do natarcia, zostanie na długo w pamięci jego żołnierzy.

A jak wyglądało pole bitwy? Miasto Piedimonte, stara twierdza średniowieczna, położone jest na górze wyrastającej wprost z dolin. Na tę górę wspina się wąska szosa łukami serpentyn, tworząc tarasy stromo opadające i solidnie podmurowane przez średniowiecznych budowniczych.

Na te strome tarasy darła się z niewiarygodną zajadłością i szaleńczą odwagą nasza broń pancerna, wspierana dzielnie przez towarzyszącą piechotę. Niespotykany przypadek — czołgi szturmujące górską twierdzę. Doprawdy nie umniejszając pięknych czynów pancerniaków z "Widma" i Albanetty, ludzie z Piedimonte okryli niezmierną chwałą naszą broń pancerną. Jedni i drudzy wykuli jej tradycję.

Stoją teraz ich czołgi, szczerniałe, niektóre wypalone — wszystkie żądłami luf skierowane w stronę wroga. Leżą na bokach, stoją prawie prostopadle oparte na tylnych oporach. Chciały brać góry i wały. Chciały zrobić to czego nikt nie dokonał. Jeden zwalił się, uderzony młotem ognia, prosto w przepaść i leży na własnej wieży grożąc swoim potwornym kadłubem.



Stanowisko polskich moździerzy

Wydawało by się, że nadludzie chcieli wydobyć z maszyn to czego maszyna nie może dać, chcieli stworzyć nadmaszyny. Trzykrotnie kpt. Alfred K.P. darł się na potworne, nieustępliwe mury, aż znalazł śmierć bohaterską na miejscu. Zaprawdę ludzie w tych stalowych pudłach mieli żelazne serca.

W ZDOBYTYM MIEŚCIE: BUNKRY, MINY I TRUPY

Posuwając się pod górę głębiej w miasto, słychać jeszcze strzały: to piechota wygniata ostatnie bunkry. Przypadkowo bierzemy udział w jednej z takich akcji. Rezultatem jest trzech jeńców. Wychodzą chude, brudne, nieogolone draby. Aż się nie chce wierzyć, że ci ludzie bili się tak desperacko. Ale teraz gdy zabrakło głosu feldfebla — rozkleili się. Są rozstrzęsieni ze strachu.

Trochę wyżej, już w uliczce prowadzącej do rynku pełno min. Nasi żołnierze rozbrajają je właśnie, bawiąc się nimi w przystępie wisielczego humoru. Toczą nimi jak kręglami lub talerzami. Klną straszliwie, gdy rozbrojona mina potoczy się nie do tego dołka, gdzie się je zbiera.

Załom uliczki ukazuje nam narożny dom wzniesiony tuż nad wąską ścieżką-uliczką, którą się schodziło po wodę. W fundamentach tego solidnego piętrowego domu — jeszcze jeden spory schron-bunkier. Dosłownie na 8 metrów przed strzelnicą bunkra leży zabity żołnierz polski. Historię można łatwo odczytać w terenie. Dostał w nocy rozkaz podejścia tuż pod strzelnicę bunkra, by o świcie zasypać go granatami ręcznymi. Zrobił sobie nawet maleńki szańczyk z kamieni, jakże mizerny w porównaniu z tym potężnym bunkrem wykutym w litej skale i osłoniętym stalową kratownicą strzelnicy.

Leży tam żołnierz twarzą do nieprzyjaciela, tak jak umierali jego ojcowie, i tak jak umarli wszyscy jego towarzysze z poprzedniej bitwy. Ręka żołnierza jest jeszcze odchylona, tak jak po wyrzuceniu granatu. Klęczy ten zmarły żołnierz, ale jest dziwnie przechylony w tył w lędźwiach, jakby go siła uderzenia pocisku lub podmuch wystrzału prosto w twarz, przechylił, ale nie zdołał wywrócić. Oczy poległego są skierowane w niebo, już rozmawiają ze Stwórcą, którego dziełem było jego młode życie. Ale wyraz mają te oczy jeszcze ziemski — straszny, taki, jakim wpatrywały się w śmiertelnego wroga jego narodu.

Ten żołnierz o nieznanym nazwisku, to na pewno bohater tej bitwy. Leżą inni, na boku, na twarzy, skurczeni dziwnie. Mają smoki, świerki, żubry i syreny. Cały Korpus był tu reprezentowany. A oni reprezentowali swoją Ojczyznę, która choć umęczona, żelazną pięścią rozwala szańce wroga.

Gdy po wielu latach w spokojnej Ojczyźnie odbędzie się kiedyś zjazd pułkowych pocztów sztandarowych, to sztandary z napisem Cassino-Piedimonte winny maszerować w jednym z najpierwszych szeregów.

PRZEMYSŁAW WEISS

Karabin maszynowy zdobyty na Niemcach



Warszawa — Spadochroniarzom



Pan Prezydent R.P. wręcza sztandar dowódcy Brygady Spadochronowej



Sztandar od miasta Warszawy w rękach chorążego Brygady

W końcu sierpnia wracały zazwyczaj z manewrów do Warszawy pułki garnizonowe. Zjawiały się pod wieczór. Od Pragi przez Most Poniatowskiego, Krakowskie Przedmieście ku Alejom Ujazdowskim ciągnęły długie szeregi piechoty; dalekim echem rozbrzmiewał łoskot setek kopyt końskich; kołatały po brukach armaty. Żołnierze byli zmęczeni i zakurzeni, mieli opalone twarze, a każdy niemal — za czapką zatknięty kwiat.

Wiadomość o ich powrocie rozchodziła się piorunem po mieście. Kto żyw, biegł na ulice. Z okien, od suteryn do poddaszy, śmiały się do nich twarze kobiet, z balkonów sypały się kwiaty, wzdłuż jezdni biegły jazgotliwe gromady andrusów i urwipołciów nadwiślańskich; na chodnikach, pod kasztanami, witał ich hałaśliwie rozradowany, barwny tłum. Warszawa kochała żołnierzy.

Warszawa kochała wojsko. Rytm tysięcy butów żołnierskich, furkot proporczyków kawalerii na wietrze, pluton trębaczy pierwszego pułku szwoleżerów, cwałujący na białych koniach przez Pole Mokotowskie, rewię Podchorążaków przed Belwederem w rocznicę Nocy Listopadowej.

Kiedy ostatnich obrońców z wrześniowych dni pochowano w poszarpanych szrapnelami, nasiąkłych krwią ludzką kwietnikach i skwerach Warszawy, z ulic miasta zniknęły polskie mundury. Żołnierz, który został i zaciągnął się do nowej armii, wdział cywilne ubranie czy szary, połatany mundur. O wojsku, noszącym nadal polskie mundury, Warszawa od pięciu prawie lat tylko słyszy, tylko słucha z utęsknieniem skąpych słów, płynących przez eter z odległych krajów.

Dnia 15 czerwca 1944 roku wóz transmisyjny Polskiego Radia zajechał do małego miasteczka szkockiego na pierwszą w historii wojska na emigracji uroczystość: wręczenie chorągwi, daru Stolicy — Pierwszej Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej. Rozstawiono mikrofony, przygotowano płyty do nagrań. Transmisja dla Warszawy.

Na czworokątnym boisku, obramowanym zielenią, stoją długie szeregi spadochroniarzy. W wielkich kulistych hełmach, pokrytych siatką maskowniczą i w dziwacznych, pękatych kombinezonach wyglądają trochę, jak tysiące przysadzistych grzybów. Na prawym skrzydle — szkoła podchorążych i kompania sztandarowa. Łopoczą w słońcu na wietrze dwa posiadane przez Brygadę proporce — jeden to dar . . . Brytyjskiej Dywizji Powietrznej, drugi zaś, na którym widnieje Orzeł Biały, wizerunek Św. Michała Archanioła i osty szkockie — to podarunek jednego z hrabstw szkockich, z którym Brygadę łączą więzy przyjaźni od chwili jej powstania.

Kaplica polowa na tle flag brytyjskiej, amerykańskiej, francuskiej, norweskiej i szkockiej, zrobiona jest pod białym namiotem. Nad ołtarzem, oparty na czaszy spadochroniarskiej, stoi krzyż — karabin z umieszczonym w poprzek bagnetem. Na stole przygotowany do uroczystości — sztandar, sztandar z Polski.

Historię jego odtworzyć można tylko ze strzępków wiadomości, jakie dotarły z Kraju. Zrobiono go z purpury kardynalskiej, którą ktoś gdzieś przechowywał, jako cenny rodzinny zabytek. Złota i srebra do haftów dostarczyły potajemne składki. Wyhaftowały go, ślęcząc nocami, warszawskie kobiety. W dniu 3 listopada, 1942 roku sztandar został poświęcony w jednym z kościołów w Warszawie i przez matki chrzestne wręczony spadochroniarzom —, dla Brygady. Dopiero kilka tygodni temu, czyli po półtora przeszło roku, sztandar dotarł do Wielkiej Brytanii.

"W międzyczasie — jak pisze w liście swym matka chrzestna, kryjąca się pod imieniem "Halina" — wiele się zmieniło. Nie ma już wśród żywych ani księdza, który chorągiew poświęcił, ani też żadnego z chłopców, którzy z takim wzruszeniem ją przyjmowali. Druga matka chrzestna jest w Oświęcimiu."

Na krótko przed przybyciem Prezydenta R.P., Naczelnego Wodza, Wice-premiera i gości, wchodzi na boisko Dowódca Brygady. Marsz generalski, którym przybycie jego wita orkiestra, jest dla wielu obecnych pierwszą wiadomością, o przyznanym dowódcy w przeddzień uroczystości awansie.

Dowódca przyjmuje raport, po czym otrąbienie sygnału "Baczność!" zwiastuje przybycie Prezydenta R.P. z otoczeniem. Orkiestra gra hymn narodowy, zwolna podnosi się na maszt państwowa flaga. Pan Prezydent w towarzystwie Naczelnego Wodza i Dowódcy Brygady odbywa przegląd oddziałów, a następnie zajmuje miejsce przed ołtarzem polowym.

W czasie Mszy Świętej gra orkiestra Brygady, po czym, po krótkim kazaniu, odczytany jest rozkaz specjalny Dowódcy z okazji otrzymania przez Brygadę sztandaru.

Zbliża się główny moment uroczytości. Jeden z trzech przybyłych delegatów Armii Krajowej zbliża się do stolika, na którym leży sztandar. Za chwilę, w imieniu okupowanej Warszawy, odda go Brygadzie.

Kiedy myślałem — mówi — że po kilku bardzo długich i bardzo niełatwych latach stanę przed frontem polskiego oddziału, odżyły mi w pamięci słowa, które kiedyś znalazły się w odezwie do polskich oddziałów. . . . —"Bo gdzie zawodziły wszelkie, nawet — zdawało by się — najpewniejsze obliczenia polityczne, tam tyś, żołnierzu polski, nie zawiódł nigdy. . . ." Potem mówi o wielkiej, najszczerszej wierze Kraju w jego żołnierza i w zwycięstwo. "Oby zwycięstwo to — kończy — było tak wielkie, jak wielkie jest zaufanie Kraju do swoich żołnierzy, jak wielką jest sprawa, a którą walczymy. Oby zwycięstwo otworzyło wam drogę do Warszawy, która was czeka z nieopisanie wielką miłością."

Następnie odczytany jest list z Kraju.

"*Kochani! Posyłamy wam chorągiew, pod którą będziecie zwyciężać! Jest ona cała jak list od najbliższych. . . . Ojcowie i matki donoszą wam, żeście ich bezgraniczną dumą i miłością, rodzeństwo i dzieci—żeście ich nadzieją, ufnością i wzorem, a żony i narzeczone ślą słowa oddania i niezmiernej tęsknoty. . . .*

"*Nie tylko jednak chcemy Wam przesłać tę wiązankę uczuć serdecznych. Tkliwość nie często u nas gości. Piszemy wam jeszcze, żeśmy tu twardsi i surowsi obecnie, niżeście nas znali, że wykruszyła się spośród nas wszelka miękkość i słabość, że upornie trwamy przy wierze naszych ojców, a słowo Polak brzmi jeszcze dumniej, niż dawniej i waży więcej. . . . Piszemy wam, że przyszłość i czyny, które stoją przed nami, nie są powszednie. Trzeba nam je budować w trudzie wielkim, niczym ogromny łuk kamienny, co spiąć musi chlubne dni naszej przeszłości z idącym okresem nowej chwały, a sklepienie swe zamknąć na zawsze ponad ludźmi małymi. . .*"

Z kolei przemawia Pan Prezydent podnosząc fakt, że właśnie spadochroniarze są przeznaczeni do zaszczytnego czynu bojowego, do podjęcia walki na ziemi ojczystej najpierwsi spośród wojsk innych broni, walczących poza krajem. W milczeniu oddziały oddają hołd Rzeczypospolitej, wszystkim jej ziemiom i tym, którzy w walce o nie złożyli swe życie w ofierze.

Następuje uroczystość wbijania gwoździ. Wśród ciszy, przerywanej tylko dźwiękiem złotego młotka uderzającego w metal gwoździ, słychać głos zapowiadającego: "W imieniu Trójcy Przenajświętszej. . . ." "Pan Prezydent Rzeczypospolitej . . ." "W imieniu matki chrzestnej . . ." "W imieniu Prezesa Rady Ministrów. . . ." "Naczelny Wódz. . . ." Powoli do stołu zbliżają się wywoływani, przedstawiciele formacji brytyjskich, polskiego lotnictwa, marynarki wojennej, delegaci wojsk spadochronowych amerykańskich, francuskich, norweskich, których spadochroniarzy również przeszkalała Brygada.

Pada komenda "Prezentuj broń"!

Delegat armii ze sztandarem w dłoni podchodzi do Pana Prezydenta. Odbierając go, Prezydent zwraca się ku klęczącemu na podium Dowódcy Brygady. Dowódca ze słowami "Przyjmuję sztandar ten ku chwale ojczyzny i dla pożytku służby" całuje róg sztandaru. Orkiestra gra "Jeszcze Polska nie zginęła . . ."

Dowódca Brygady wręcza sztandar chorążemu, poczem poczet sztandarowy przy dźwiękach hymnu narodowego przemaszerowuje przed frontem Brygady i zajmuje czołowe miejsce w kompanii sztandarowej na prawym skrzydle.

Na podium wychodzi Naczelny Wódz. Pewien moment mowy jego wprowadza specjalną atmosferę wśród słuchaczy. Jest to moment, w którym mówi o liście z Kraju. "Z każdej stronnicy przemawia do was szlachetne serce kobiety polskiej. W ciągu lat ostatnich, lat walki i męczeństwa, serce to wzniosło się na niebywałe wyżyny hartu, poświęcenia i ofiary. Kobieta polska w Kraju od dnia wybuchu działań wojennych kroczy nieustannie w pierwszych szeregach bojowników wolności. . . . Złóżmy hołd jej bohaterstwu, jej wielkim zasługom dla Armii Krajowej . . . dla Polski podziemnej, dla całej Sprawy Ojczystej. . . ."

Przez tę krótką chwilę każdy chyba z zebranych żołnierzy zapomina o uroczystości, której jest świadkiem, nie widzi zielonej wsi szkockej, która go otacza, a myślą przenosi się do domu, może już nieznanego i do tej jednej kobiety—matki, żony czy córki — do których już od pięciu bezmała lat tęskni. Sztandar anonimowo wyhaftowany i przysłany przez kobiety Warszawy, staje się nagle dla żołnierzy czymś bardzo bliskim i osobistym.

Słońce, które przyświecało uroczystości, znika za chmurami. Za chwilę zaczyna padać deszcz.

Na chodnikach głównej ulicy miasteczka ustawiły się gromadki Szkotów, w oczekiwaniu na defiladę . Wielu z nich ma w rękach ulotki z angielskim tłumaczeniem wygłoszonych na uroczystości mów. Na bramie kościelnej naprzeciwko podium dla Pana Prezydenta wisi afisz "*A lecture on Poland*", wykładowcą ma być jakiś porucznik. W tłumie kręci się mały chłopczyk, syn jednego z miejscowych obywateli, ubrany w mundurek spadochroniarski. Polska jest najwidoczniej popularna w miejscowości, gdzie swą wojenną siedzibę mają spadochroniarze.

Na czele defilady maszeruje Dowódca Brygady, za nim orkiestra i kompania sztandarowa, potem długie, długie szeregi spadochroniarzy.

Idzie szkoła podchorążych, baony strzelców, kompania dowodzenia. Łączność, moździerze, saperzy, zaopatrzenie, artyleria spadochronowa, kompania sanitarna. Idą. Karabiny przewieszone przez prawe ramię, garłacze na lufach. *Sten-gun'y.* Łopatki saperskie przy pasach. Polowe aparaty radiowe na plecach. Składane rowery. Klekoczą po zlanej deszczem ulicy baterie przeciw-pancerne, wózki z moździerzami i nadajnikami radiowymi, *jeepy*, haubice, ambulansy. Orkiestra przez cały czas gra marsza Brygady, skomponowanego z kilku melodii polskich i szkockich. Przewija się w nim często motyw żołnierskiej piosenki "Wrócimy znów."

Milknie echo maszerujących oddziałów. Przemokła na deszczu publiczność zaczyna się powoli rozchodzić. Uroczystość skończona.

Wieczorem, przez radio, dowie się Warszawa, że dar jej został wręczony Brygadzie. Usłyszy opis uroczystości, nagrane z płyt przemówienia, może nawet łoskot marszu spadochroniarzy po ulicach szkockiego miasteczka. I będzie czekała . . .

Ze wszystkich formacji polskich zagranicą Warszawa wybrała tę, której hasłem jest "Najkrótszą drogą do Kraju!" Czeka. Wierzy, że kiedyś wreszcie spadną z nieba, jak orły na ich znakach spadochroniarskich i oswobodzą uciemiężone miasto. Warszawa, która zawsze kochała żołnierzy, czeka na nich—jak powiedział delegat Armii Krajowej —"z nieopisanie wielką miłością."

HALINA TOMASZEWSKA

"Kapral Szczapa"

Nie wiem, czy znacie tę książkę? Jest to jedna z najpiękniejszych pisanych po polsku współczesnych książek żołnierskich, i żal mi, że nie mam jej pod ręką. Nie wiem nawet, czy znalazłby się tutaj jej egzemplarz. Zawiera historię kaprala I. Brygady, Szczapy, w prawdziwie znakomitym przekroju życia legionowego, z jego humorem, zawadiactwem, nabieraniem "trepów", z jego polityką, opartą na fanatycznej wierze w Komendanta — słowem z tym wszystkim, co długi czas, na złe i dobre, tułało się po Polsce wskrzeszonej, a co było nie zawsze zrozumiałe żołnierzom z innych formacyj. Myślę, że gdyby tekst udało się odnaleźć, przedruk choć fragmentu w jakiej "Skarbnicy literackiej" byłby bardzo wskazany.

"Kapral Szczapa" — to książka zmarłego niedawno w Jerozolimie ś.p. Karola Krzewskiego. On sam lubił to dzieło swojej młodości, które przyniosło mu popularne w wojsku przezwisko, i mawiał nieraz, że taka rzecz, jak "Szczapa", raz w życiu się uda.

Dziwny to był człowiek. Zrodził go staromiejski Lublin za Krakowską Bramą, której konterfekt wisiał zawsze nad jego biurkiem; nazywał się Lilienfeld i szczycił się, że jego pradziad hebrajskimi literami pisał rabinowi lubelskiemu polską przemowę na powitanie wmaszerowującego przez tę Bramę Księcia Józefa, rabin bowiem naturalnie po polsku nie umiał. Po ojcu swoim, lekarzu, odziedziczył prawdziwie imponującą bibliotekę romantyków polskich; był siostrzeńcem znanej w Lublinie poetki.

Od wczesnej młodości tkwił w ruchu niepodległościowym; "Strzelec" oderwał go od namiętnego studium literatury u prof. Chrzanowskiego w Krakowie. Romantycznie, ale i nie bez ran, walczył w Legionach; romantycznie został w wojsku i skończył Wyższą Szkołę Wojenną. Pisał zawsze. Właściwym jego umiłowaniem była krytyka literacka. Gdy w okresie po-majowym wyszedł z linii, pracował jeszcze kilka lat na polu wojskowo-oświatowym, zanim nie przeszedł do Polskiego Radia. Tam była nie tylko literatura, ale i polityka.

Z Kraju wydostał się przez Rumunię i zawędrował na Bliski Wschód. Umarł w sile wieku, jako mężczyzna 50-letni; właściwie choroba podważała jego siły już przed wojną.

Powszechnie go lubiono. Przyjaźnili się z nim nawet ci, których — jak mnie na przykład — więcej z nim dzieliło, niż łączyło. Cenił go, tak mu daleki przekonaniowo, prof. Chrzanowski. Wysoka kultura osobista, gorący patriotyzm, zupełny brak kompleksu żydowskiego, wspaniały humor, głęboko pokrywający wewnętrzną melancholię mądrego człowieka — czyniły zeń najmilszego towarzysza pracy i rozrywki. Był to całą duszą Polak, nie dezertujący od idei wolnej Polski nigdy. Dziś, gdy spoczął w Jerozolimie na katolickim cmentarzu góry Syjon, radbym trumnę jego przenieść do Polski i złożyć ją w Lublinie.

Traf chciał, że wiadomość o jego zgonie "Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" zamieścił obok fragmentu z dzieł Piłsudskiego. "Kapral Szczapa" raz jeszcze zameldował się swemu Komendantowi. Tym razem nikt z nim o to sporu wieść już nie będzie.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Bez blackoutu

Tak się z biegiem lat złożyło, że dzisiejszy felieton "bez blackoutu" nosi numer kolejny 100, więc setny "black-out" lub "blackout pod setką". O jakimkolwiek jubileuszu w dzisiejszych warunkach nie ma mowy, przede wszystkim dlatego, że każdy jubileusz mieści w sobie smutną nutkę pożegnania czy zakończenia pracy, a mój "blackout" nie ma zamiaru żegnać się z Wami, Drodzy Czytelnicy, jak wynika z rozmowy, którą z nim w tym dniu jubileuszowym przeprowadziłem.

Jubilat siedział nad teczką, wypełnioną wycinkami tygodniowymi z "Polski Walczącej". Powitałem go serdecznie:

Cóż staruszku liczysz sobie już 100 tygodni; jeszcze Ci się nie znudziło?

Blackout: Czuję się rześki. Przecież we wrześniu 1941 roku sam mi powiedziałeś, że nie wolno mi kapitulować, bo moim zadaniem jest zwalczanie moralnego blackoutu, który bywa sprzymierzeńcem wroga, przewodnikiem defetyzmu, budzicielem nieufności, nieodpowiedzialnych odruchów . . .

Ja: Owszem, pamiętam. Powiedziałem nawet więcej: "Kotarowanie pewnych spraw, zalepianie czarnymi papierkami niektórych zagadnień, spuszczanie grubych zasłon na aktualne, nurtujące naszą rzeczywistość pytania, chowanie każdej drażliwości pod koce — w przeciwieństwie do blackoutu wojennego — wyrządza szkody społeczne; nie chroni, ale właśnie naraża na niebezpieczeństwo".

Blackout: Nie pamiętam tego dokładnie, bo liczyłem sobie wtedy jeden tydzień, ale brzmi to i teraz aktualnie. W każdym razie wtedy — jak wynika z przeglądanych obecnie przeze mnie wycinków — ubrałeś mnie w ładną kabałę. Jeszcze teraz włosy stają mi dęba na głowie, gdy czytam twój plan ówczesny: "W felietonie, którego pierwszy odcinek rozpoczyna dziś skromny żywot, spróbujemy mówić o ludziach i rzeczach większych i mniejszych, o zagadnieniach aktualnych, drażliwych i niedomówionych, o "drobiazgach" niezwykle jednak ciężkich gatunkowo" . . .

Ja: Pociesz się mój staruszku, że Terlecki posiwiał więcej od ciebie przez tych 100 tygodni, a tobie kilka razy groziło zakończenie służby wojskowej . . . w pace. Bo też czasem podrzucałeś mi, jubilacie, tematy bardzo czułe.

Blackout: Te najczulsze nic nie straciły na aktualności. N.p. sprawa "famousów" polskich poruszona przeze mnie, gdy miałem zaledwie 3 tygodnie życia. Niedawno zwrócono się do redaktora "Polski Walczącej", żeby przy współpracy z Ministerstwem Informacji i Związkiem Artystów Scen Polskich załatwić tę czułą sprawę. A myśmy o tym pisali obydwaj w r. 1941: "Wojna zawsze jednym ludziom komplikowała życie, upraszczając i ułatwiając drugim pewne sytuacje . . . Życzymy wszystkim zasługującym na sławę i powodzenie polskim artystom, by "famous" pisano przed ich nazwiskiem na wielkich afiszach największych koncertów w Szkocji i Anglii. Jeden warunek: afisze te muszą głosić prawdę. Zbyt hojnie i nieostrożnie pozwalamy wypisywać różnym emigracyjnym Lolom i Basiom z Grajdołka nietaktowne "famous" przed ich. nazwiskiem. Tolerując to, wyrządzamy krzywdę niepowetowaną sztuce polskiej i jesteśmy nielojalni wobec pozostałych w Kraju czołowych artystów naszych . . . Sedno rzeczy leży niewątpliwie w tym, że co drugi Polak czy Polka czują się w obowiązku robić na tym terenie "propagandę". Wypadają czasem z tego tragiczne komedie pomyłek".

Ja: Nie pamiętasz staruszku, czy wtedy się ktoś na nas obraził?

Blackout: Jakżeby nie? Na pewno! przecież to nasza staropolska dziedziczność, którą kiedyś w 1941 roku nazwałeś "Przeczulica Polonica". Według ciebie objawy tej choroby narodowej wyglądają następująco: "Zaczyna się od daleko posuniętego krytycyzmu, po tym następuje gorączka "lepszoznawstwa" /termin medycyny niemieckiej "besserwiserstwo"/, z kolei pacjent zaczyna wyolbrzymiać zagadnienia drugorzędne kosztem pierwszorzędnych, następuje silny okres rozsiewania przez chorego bakcyli intryg, pacjent zaczyna zatruwać sobie i innym atmosferę zużywając resztki energii na funkcje niepożyteczne. I wreszcie następuje kryzys, to znaczy chory łatwo się obraża, przychodzi maligna robienia wideł z igieł i wreszcie pacjent umiera społecznie na zanik ciałek zdrowego rozsądku jako ofiara epidemii, której dziś dajemy nazwę: "Przeczulica Polonica".

Blackout: W każdym razie warto z okazji jubileuszu stwierdzić, że te wszystkie obrażania się i kłopoty obijały się o mnie i o dziadzia Terleckiego. Jemu myli głowę we właściwym urzędzie za mnie, a mnie smarowali u cenzora czerwonym ołówkiem, obcinając i krając niemiłosiernie.

Ja: Nie możesz narzekać. Zaledwie cztery razy w ciągu czterech lat zdarzyła ci się zaszczytna wędrówka w całości do kosza ze względów cenzuralnych . . .

Blackout: Słuchajno, ojciec . . . Czy nie powinniśmy w tym dniu wspomnieć ze sentymentem naszej pierwszej, niezapomnianej korespondentki Barbary L. T.? Miałem wtedy 13 tygodni. Pamiętam, że wygarnęła nam przyzwoicie: "Nie pięknie na obczyźnie wytykać nam, urojone w dodatku, błędy. Najgorszy taki ptak, który własne gniazdo kala! Sprawie polskiej pięknie się pan przysługuje. Proszę przestać pisania artykułów". I pomyśleć, że byłbym umarł w 13 tygodniu życia przez Barbarkę.

Ja: Odpowiedziałem jej wtedy: "W gniazdeczku są robaczki i zdziebełka i trzeba je niepięknie "wykalać" żeby nie robić generalnego prania w gniazdku w tej wielkiej chwili gdy ptaki zerwą się do lotu" . . .

Blackout: Ojciec, daj spokój, bo gotów cenzor teraz dopiero tego nie puścić. Zanadto aktualne! Muszę ci jednak wypomnieć, że szpetnie się pomyliłeś przepowiadając w roku 1942 niedaleki koniec wojny. Ostrzegałeś nawet ludzi, żeby ich "szczęście nie zaskoczyło". Pomyliłeś się ojczulku o dobrych kilka lat. Zostaw lepiej te rzeczy Grabowskiemu, który przepowiada z dokładnością do kilku miesięcy.

Ja: Za pozwoleniem! To wcale nie były wróżby. Tematem felietonów było: "oswajanie się z myślą powrotu". Pewnie, że brzmiało to paradoksalnie, ale zaglądnij do teczki wycinków, przeczytaj kilka ustępów i powiedz, czy to nie nadaje się żywcem do aktualnego felietonu inwazyjnego.

Blackout /czyta z wycinków/: " . . . Czy wszyscy jesteśmy gotowi na tę chwilę? Gdyby tak udało się porozmawiać z każdym z Polaków na tej wyspie z osobna, w cztery oczy, to okazało by się, że pełna świadomość realnej możliwości powrotu równa się uczuciu chłopca przed przystąpieniem do pierwszej spowiedzi, równa się uczuciu młodzieńca w dniu poprzedzającym zawarcie małżeńskiego związku. Rozmaite są tego stanu przyczyny: jedne bardzo uczuciowe i głębokie, drugie bardzo pospolite i płytkie. W jednych tętni tłumiona latami tęsknota, znaczona śladami łez i doznanych zawodów, w drugich drży lęk, płynący ze świadomości niespełnienia obowiązku lub, co gorzej, przekroczenia pewnych praw moralnych, krzywd wyrządzonych sprawie polskiej, sprawie żołnierskiej lub społecznej. Wtedy, aby przygłuszyć własne sumienie niektórzy z nas wyciągają kalendarzowe proroctwa i wołają pospiesznie: "Jeszcze nie tak prędko!" Na pewno przeżyjemy jeszcze niejedną ciężką próbę, niejedno zmaganie, ale moment przełomowy, moment decydujący, może zaskoczyć nas skłóconych w dniu poprzednim, rozgadanych ponad miarę, snujących plany na długie lata wojenne, przeszkadzających sobie nawzajem w tej i tak trudnej na tym terenie pracy".

Ja: To było dokładnie dwa lata temu. W tym samym mniej więcej czasie, staruszku, otworzyliśmy pod hasłem "Polak Polakowi bratem" kilka pozycji w naszej księdze rachunkowej na "Pomoc dla Polaków w Rosji" wprowadzając różne motywy składek, jak: w dniu imienin osób najbliższych, zamiast podziękowania, zamiast souveniru, wygrane w karty i t.p.

Blackout: Miała z tym redakcja dużo kłopotu, ale i dużo radości, a kłopotów nie więcej chyba, jak z tym felietonem o "poufności" i "tajności".

Ja: Daj spokój. Nie przypominaj. Przecież na pewno poprawiło się u nas w tym względzie.

Blackout: Poprawiło się? Nie wiem. Oceń sam aktualność tego fragmentu Anno Domini 1942: " . . . Mimo ciężkich doświadczeń, mimo upływu lat twardej nauki, której nam los nie szczędzi, grana jest przez nas dalej z uporczywym zamiłowaniem naiwna komedyjka "poufności" i "tajności" w sprawach błahych, co automatycznie wpływa na niebezpieczne lekceważenie dochowania tajemnicy w rzeczach naprawdę ważnych, w sprawach, za które ktoś zapłacić może życiem. Dwa bieguny, jak w wielu naszych sprawach: na jednym napuszona, niepotrzebna tajemniczość, na drugim lekkomyślna, karygodna gadatliwość . . ."

Ja: Mój staruszku jesteś zanadto godatliwy. Żyjesz przeszłością, która straciła kolory obecnej rzeczywistości: jesteś mocno przestarzały.

Blackout: A właśnie, że nie. Weź choćby tylko taką sprawę pracy Polek w ogóle a pracy w szpitalach w szczególności . . .

Ja: Milcz nieszczęsny.

Blackout: Ściągnęło to kiedyś na nas gromy, ściągnęło, ale okazuje się, że sprawa ta w chwili obecnej jest niezwykle żywotna, daje się odczuwać poważnie brak ochotniczek z emigracji cywilnej na tym terenie do służby w polskich szpitalach wojskowych. Brak pielęgniarek jest zastraszający. Co więcej: mimo wielu apelów, mimo odezwy Ministra Obrony Narodowej sprawa niemal nie ruszyła z miejsca, wojna trwa a szpitale zapełniają się rannymi.

Ja: Widzę mój blackoucie, że znowu chcesz mnie wkopać w jakąś kabałę. Ja z góry mówię: pas! Kobiety wówczas zupełnie wypaczyły nasze najlepsze intencje i nie zrozumiały ich. Co więcej: obraziły się nawet te, które najlepiej i najofiarniej pracowały dla żołnierza w szpitalach, kantynach i świetlicach. Chodziło o coś całkiem innego.

Blackout: Skoro jesteśmy przy temacie bitew, toczonych przez nas na przestrzeni lat, to przypomnę ci wielką potyczkę na łamach "Polski Walczącej" i "Dziennika Polskiego" w sprawie solidarności duchowej z Krajem i konieczności łączenia się w myślach i nastrojach z daleką Ojczyzną. "Dziennik Polski" wypisał nam wtedy, że zalecamy "czarną dietę" i żałobę, że tak żyć nie można.

Ja: A jednak ostatnie choćby rozmowy z ludźmi przybyłymi z Kraju wskazują wyraźnie na to, że wtedy nie byliśmy daleko od prawdy, że zobojętnienie emigracji, duchowe oderwanie się jej od Kraju, może doprowadzić do katastrofy.

Blackout: Napisaliśmy wtedy obydwaj: "Jesteśmy garstką. Tam w Kraju zostały miliony. I trzeba żyć życiem tych milionów przynajmniej duchowo, choć w nieskończenie lepszych warunkach".

Ja: Zarzucali nam potem niektórzy czytelnicy, że zanadto idealizujemy Brytyjczyków, że z podziwu dla nich wpadamy w kompleks poczucia mniejszej wartości. A myśmy zawsze zachęcali do naśladowania dobrych stron charakteru brytyjskiego, wyśmiewając powierzchowne, naiwne przerabianie się Polaków na "English fashion" i przyswajanie sobie najgorszych nałogów tutejszych.

Blackout: Uważam jednak, ojczulku, że mimo tylu wad, o których bez żadnych obsłonek mówiliśmy na tym miejscu przez tyle lat — Polak na terenie Wielkiej Brytanii okazał także dużo zalet. Nasz Czytelnik był wrażliwy i ofiarny. Przypomnij sobie, jak pod wrażeniem mocnych słów byłego jeńca Jacka Lisa rzuciliśmy w tym felietonie myśl akcji "Paczek od serca" dla jeńców polskich w niewoli niemieckiej.

Ja: Udała się ona tylko dzięki Czytelnikom. To ich zasługa i to im trzeba powiedzieć w dniu naszego skromnego jubileuszu.

Blackout: Przede wszystkim podziękuj im za to, że tak długo z nami wytrzymali, za cierpliwość. Przeproś za słowa gorzkiej prawdy.

Ja: Dawno twierdziłem, że prawda zbliża nas do siebie, a życzliwość ułatwia życie.

Blackout: Pamiętam. Szczególnie przyda się ta życzliwość w marszu powrotnym, o którym kiedyś powiedzieliśmy, że ma w sobie niewątpliwie coś dramatycznego, że trzeba na poszczególnych etapach tego marszu, korzystając z krótkich postojów, codziennie tłumaczyć wartość Polski nie pomniejszonej, udowadniać prawa do własnej ziemi, wydobywać dokumenty i karty tożsamości. Jeżeli ktoś zgubił krok w naszej kolumnie, na tym zakręcie w marszu powrotnym powinien go odnaleźć.

Ja: Nie uważasz staruszku, że zza węgła widać jednak koniec naszej drogi? W dziejowym momencie przyszło nam obchodzić naszą "setkę".

Blackout: O ileż młodsza jest inwazja Sprzymierzonych. Liczy zaledwie 3 tygodnie.

Ja: Gdybyś był młodszy, niemiałbyś wspomnień z 99 tygodni. Bądź zdrów, stary i pamiętaj: Życie zaczyna się po setce.

Blackout /chowając się między wycinki/: Oby, oby.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE OCENY EMIGRACJI

Szanowny Panie Redaktorze,

List p. Karola Lewkowicza zamieszczony w "Polsce Walczącej", w nr. 10 z b.r. sprowokował mnie do napisania niniejszego listu, z którym proszę zrobić, co się Panu podoba. P. Lewkowicz uważa, że pochlebna opinia p. Karskiego o emigracji jest co najmniej przesadzona. Myślę, że tak.

Emigracja nasza — ja jestem niestety jej członkiem — nie zasługuje na słowa uznania; przynajmniej pewna jej część. Jej postawa moralna jest nieraz upokarzająca. Jej bierność wobec wyższych zagadnień jest znaczna. Pan L. za delikatnie, chociaż trafnie, zwrócił uwagę na bezmyślną gonitwę za funtami, za awansem, za wygodnym życiem. W wojsku, od najniższego do najwyższego stopnia większość narzeka, najczęściej nie mając racji, na niesprawiedliwość, w cywilu na ciężką pracę za "psie pieniądze".

Nic z tego nie rozumiem.

Jedni przed wojną i w czasie "tułaczki" na Węgrzech, we Francji żyli i tutaj żyją w chwale i dobrobycie jedynie dlatego, że "służą Ojczyźnie wiernie", drudzy wysunięci najczęściej przypadkiem na stanowiska "przepracowują" się dla Kraju, wszyscy trąbią na lewo i na prawo o swoich zasługach, patriotyźmie i bezinteresowności. Wszyscy jednak zapominają, że ten "patriotyzm", "bezinteresowność" i "zasługi" uboga Polska wynagradzała i nagradza należycie.

Gdzie leży przyczyna złego?

1. W demoralizującym nagradzaniu w początkach naszej niepodległości niewątpliwych lub wątpliwych zasług, które były tylko spełnieniem obowiązków obywatelskich. Ta demoralizacja powtórzyła się w Rumunii, na Węgrzech, rażąca była we Francji a tutaj jest kontynuowana i toczy chorą duszę emigracji.

2. W lekceważeniu jednolitego wychowania młodzieży w szkołach średnich i wyższych, i raczej dążeniu do przygotowania nowych podpór dobrze zorganizowanych egoistycznych grupek, zamiast troski o cały naród, zamiast troski o wyrobienie rzetelnego stosunku do współobywateli, do nauczenia umiejętności mądrego współżycia w społeczeństwie.

Skutki są teraz widoczne. Brak nam tej koniecznej dla demokracji umiejętności. Polacy nie umieją współżyć. Lubią się kłócić z błahych powodów, są zazdrośni i zdradzają często, często, brak taktu. Szczególnie rażący jest lekceważący stosunek do drugich. To wszystko wypływa z zaniedbań wychowawczych. Dlatego rzadki jest okaz uprzejmego urzędnika; dlatego rzadko się używa, n.p. w wojsku: "proszę", "dziękuję", "przepraszam"; krzyczy się bez potrzeby i drażni bliźnich.

/Byłem niedawno na premierze "Lwowskiej Fali". Wspaniała satyra na nasze więcej niż słabostki. W każdą niedzielę, po nabożeństwie powinna być dawana ta rewia w Londynie aby przypominała przepracowanym rodakom, kim są, komu służą i za co? Takie poranki zapobiegałyby sparszywieniu, do reszty, naszej emigracji./

Nie podzielam obaw p. L. dotyczących samozwańczych kandydatów na stanowiska publiczne, ponieważ mam duże wyobrażenie o Kraju.

Wierzę w Kraj. Wierzę, że społeczeństwo przejrzało i że czuwać będzie nad moralnością życia publicznego. Wierzę, że się odrodzimy i że zbudujemy prawdziwie Demokratyczną Polskę. Wierzę, bo wiem, że Naród Polski jest wspaniały, że potrzeba mu tylko oddanych mądrych, dobrych i wielkodusznych przewodników a wielkość swoją zachowa i żyć będzie wiecznie.

Z szacunkiem i pozdrowieniami

F. W. Gąsiorowski

JESZCZE W SPRAWIE STOSUNKU DO KOBIET

Szanowny Panie Redaktorze!

Serdecznie dziękuję p. Zb. Janiczowi, który zabrał głos w Skrzynce Pocztowej w nr. 20 "Polski Walczącej". P. Janicz na podstawie życzliwej obserwacji rzuca parę trafnych uwag o nieodpowiednim traktowaniu kobiet w mundurach.

Ja zaś chciałabym dodać z przykrością, że podobne traktowanie odczuwa się często w pracy na terenie biur wojskowych. Niektórzy panowie /nie chcę powiedzieć większość/, od których choćby z racji zajmowanych stanowisk należało by oczekiwać kulturalnego zachowania się, postępują w sposób b. niegrzeczny, zawsze zgryźliwi, często używający nawet wulgarnych wyrażeń w odniesieniu do pracownic pozostających pod ich "wszechwładnym" zwierzchnictwem. A przecież już choćby z racji tych ogólnych nieszczęść, które nas wszystkich dotknęły, powinniśmy się starać o wytworzenie stosunków o większej wzajemnej życzliwości i serdeczności.

Zaznaczam, że nie chodzi mi o jakąś wyszukaną, nadskakującą grzeczność, gdyż pracy naszej towarzyszy stale poważna myśl: być pożyteczną i użyteczną w ogólnym wysiłku wydźwignięcia Polski z tej okropnej sytuacji. Chodzi mi o zwykłą uprzejmość, życzliwy i ludzki sposób postępowania, a nie robienie nam przykrości, które niejednokrotnie są przyczyną naszych łez.

Prawda, wszyscy mamy mnóstwo zmartwień, ale my kobiety, które przeszłyśmy i przeżywamy stale wiele tragedii osobistych, rodzinnych i ogólnych, konsekwencje wojny odczuwamy dotkliwiej, choćby z racji naszej odmiennej struktury duchowej.

Już sama chciałam kiedyś tę nieprzyjemną sprawę poruszyć, ale uważając, że mamy inne ważniejsze i pilniejsze sprawy do załatwienia, wolałam ją przemilczeć. Teraz jednak, korzystając z okazji, ośmielam się dołączyć tych parę moich uwag.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Ewa Sz-ska

LOTNA BIBLIOTEKA ZRZESZENIA STUDENTÓW POLAKÓW W WIELKIEJ BRYTANII

Na mocy uchwały Zarządu Głównego Zrzeszenia zostaje uruchomiona Lotna Biblioteka Naukowa z siedzibą w Edynburgu. Celem tej biblioteki jest ułatwienie młodzieży polskiej, nie mającej możliwości rozpoczęcia, względnie kontynuowania studiów na Wyższych Uczelniach, dalszej pracy naukowej i pogłębiania już posiadanej wiedzy.

Prawo korzystania z biblioteki posiadają wszyscy studenci i maturzyści pozostający w szeregach wojskowych, a przez to nie mający dostępu do bibliotek uniwersyteckich. Z lotnej biblioteki nie mogą korzystać koledzy odkomenderowani na studia, ani stacjonowani w miastach uniwersyteckich.

Koledzy pragnący korzystać z biblioteki są proszeni o podawanie tytułów książek na poziomie uniwersyteckim, względnie tematu zainteresowań naukowych, co będzie podstawą dostarczenia im żądanych dzieł.

Zainteresowani winni skomunikować się listownie z Kol. Ireną Sumowską, 18, Bristo Street, Edinburgh. Na pokrycie kosztów korespondencyjnych oraz opłat przesyłek pocztowych prosimy o dołączenie do pierwszego listu "Postal Order" na sumę 2 sh. /dwa szylingi/.

Zarząd Główny Zrzeszenia Studentów Polaków w Wielkiej Brytanii

Dla Polaków w Rosji: £10,970

Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę £2 /dwa funty ang./, które otrzymałem od Kwatery Prasowej Sił Zbrojnych, jako honorarium za korespondencję. Powyższą kwotę proszę przekazać na pomoc Polakom w Rosji.

Toruń T.

* * *

Przesyłam w załączeniu postal order na £1 na rzecz Polskiego Czerwonego Krzyża z prośbą o przekazanie tej kwoty na P.C.K. i umieszczenie tej wpłaty w poczytnym piśmie "Polska Walcząca".

Z poważaniem

Daphne Lumsden F.A.N.Y.

* * *

Przesyłam money order na 10 szyl. na Pomoc dla Polaków w Rosji.

St. dragon

* * *

Załączam £1 na pomoc Polakom w Rosji.

Strumieński M.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £4.10.0 /słownie: cztery funty, dziesięć szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,970.8.8 /słownie: dziesięć tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt funtów, osiem szylingów, 8d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

Poszukuje się STANISŁAWA ŚWIESZCZA urodzonego w dniu 20 lipca 1903 r., b. urzędnika Banku Rolnego we Lwowie, zamieszkałego tamże na Stryjskiej nr. 36. Aresztowany we Lwowie 22 marca 1940 r., umieszczony we więzieniu na ul. Jachowicza we Lwowie. W dniu 15 maja 1941 r. wyprowadzony i od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął. Według przypuszczenia został umieszczony w więzieniu w Brygitkach lub na Zamarstynowie we Lwowie.

Wszystkie osoby mogące udzielić dalszych informacji uprasza się najusilniej o niezwłoczne kierowanie ich do Redakcji "Polski Walczącej".

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Editor of "Fighting Poland",

Dear Sir,

I enclose herewith £1 /one Pound/ collected spontaneously by the members and guests of the Hilton W.R.I. after my talk on Poland given to them on the 5th June, 1944.

The above sum is intended as a contribution towards the "Polish Children's Rescue Fund", and I should be very much obliged if you would kindly charge yourself with its transmission.

Yours sincerely,

/Mrs./ Irene Koval

* * *

Przesyłam dwa "Postal Order'y" na £1.16.9 razem, na Fundusz Ratowania Dzieci w Polsce, od kompletu szkoły powszechnej w Edinburghu z uprzejmą prośbą o umieszczenie w Sz. piśmie WPanów.

Z poważaniem

Kierowniczka Szkoły Powszechnej
A. Łąska

KOMUNIKAT

Komisja Organizacyjna Komitetu Polaków z Ameryki Południowej w Polskich Siłach Zbrojnych prosi wszystkich ochotników z Ameryki Południowej, którzy dotychczas nie podali swoich adresów, o zgłaszanie się do Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 45, Belgrave Square, London, S.W.1, podając /dużymi literami/ imię i nazwisko, stopień, adres poczty polowej, kraj pochodzenia w Ameryce Południowej.

Zbiórka książek

Od E.S. Wilno otrzymaliśmy: C. Dickens: "Old Curiosity Shop", H. Martin: "Winston Churchill", H. Tennenbaum: "Europa Środkowo Wschodnia w gospodarstwie światowym", i 49 broszur.

W drugiej paczce z zaznaczeniem: "For boys and girls in the Forces in the Middle East", znajduje się: Z. Nowakowski: "Rubikon", Świętosławski: "Sprawa Polski, pytania i odpowiedzi", K. Lipnicki: "Kamienica z czerwonej cegły", A. Mickiewicz: "Pan Tadeusz" /2 egz./, L. Robertson: "Burn's poetical works", E. Brann: "Nanette of the Wooden Shoes", 22 bruszury i 15 zeszytów "Co słychać".

* * *

Bezimiennie: K. Karpiński: "Stenografia", C. E. Eckersley: "A Concise English Grammar", "Essential English" /2 egz./, "Jak to napisać", "Słownik polsko-angielski", C. Mackenzie: "Our Street', "Pocket atlas of the world", "88 łatwych lekcji języka angielskiego", i 5 broszur.

* * *

Dla Armii Polskiej na Wschodzie 12 egzemplarzy książki: "Polska w liczbach".

Bezimiennie

Dnia 13 lipca, w czwartek o godz. 7.15 wieczorem odbędzie się w Klubie "Białego Orła"

WIECZÓR AUTORSKI
BEATY OBERTYŃSKIEJ

Będą czytali:

autorka / wiersze dawne i nowe/, Tola Korian /poemat "O Braciach Mroźnych"/, Józef Opieński /fragment powieści "Faustyna"/.

Słowo wstępne wygłosi Tymon Terlecki.

Wstęp wolny.

Na "paczki od serca": £3,313

Kochany Redaktorze,

Przesyłamy w załączeniu Money Order TT. 29456 na sumę £30.13.6 zebraną w czasie przedstawień programu "Piąty Front" na terenie Szkocji.

Złożyli tę kwotę i przekazują za pośrednictwem "Polski Walczącej" na "Paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech oficerowie i szeregowi następujących oddziałów Pierwszej Samodzielnej Brygady Spadochronowej:

13.VI. III. Batalion	£ 8.13.5
18.VI. I. Batalion, komp. ppanc., saperów, łączności	£16. 9.8
19.VI. II. Batalion	£ 5.10.5
Razem	£30.13.6

Razem z kwotą £19.16.7 ogłoszoną w Nr. 23 "Polski Walczącej" łączna suma uzyskana ze zbiórki na "Paczki od serca" na terenie oddziałów Pierwszej Samodzielnej Brygady Spadochronowej wynosi £50.10.1.

Pragniemy podkreślić, że akcja zbiórkowa spotkała się w Brygadzie Spadochronowej z żywym i ofiarnym poparciem przez ogół oficerów i szeregowych. Wszystkim ofiarodawcom składamy tą drogą wyrazy serdecznego uznania i podziękowania.

Łączymy koleżeńskie pozdrowienia

Czołówka Teatralna
"Lwowska Fala"

* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order No. 104794 na sumę £1 z przeznaczeniem na paczki dla jeńców w Niemczech. Jest to nieprzyjęta przez Ks. Kapelana Żmijewskiego ofiara za odprawioną Mszę Św. żałobną za duszę mego brata.

Łączę wyrazy poważania.

T. Tch.

Konsulat R.P. przesyła w załączeniu sumę £7, na pomoc dla jeńców Polskich w Niemczech. Suma ta została ofiarowana przez nieprzyjętą do lotnictwa polskiego ochotniczkę p. Aleksandrę Bujwoł, zamieszkałą w Glasgow.

W. Kolankowski

* * *

W załączeniu przesyłam P.O. na sh.4 i przeznaczam je na "Paczki od serca" jako zwrot składek członkowskich od Zw. Ziem Południowo — Wschodnich R.P.

Jan Nad.

* * *

Zgodnie z pismem z dn. 17 bm. L. p. 2366, Ministerstwo Skarbu przesyła w załączeniu czekiem na Midland Bank Limited, kwotę £1 tyt. pokrycia rachunku p. W. Filskiego No. 36 z dn. 14 bm. za naklejenie 48 fotografii i wykonanie napisów w albumie. /Paczki od serca./

Ministerstwo Skarbu
Główny Kasjer
/W. Zubrzycki/

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £39.17.6 /słownie: trzydzieści dziewięć funtów, siedemnaście szylingów, 6d./ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,313.16.8 /słownie: trzy tysiące trzysta trzynaście funtów, szesnaście szylingów, 8d./, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

Żołnierze Centralnego Kursu Kierowców wpłacili na Jeńców Wojennych kwotę £10, która stanowi pozostałość sum zebranych na pokrycie szkód, powstałych w Oddziele.

Żołnierze . . . Kompanii Sanitarnej wpłacili kwotę £11.7.3 przeznaczoną na pomoc Jeńcom Wojennym.

Kwota ta została przekazana na konto-Fundusz Społeczny Wojska.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

"WARIAT! . . ."



AUTENTYCZNE

Przed wejściem do kolejki podziemnej gdzieś w Anglii o godzinie 4-ej rano spotykają się w czasie alarmu dwaj rodacy:

—A pan co tu robi?

—Wyszedłem z domu . . . A pan kapitan?

—Przyjechałem kolejką! . . .

—Tak ??? Ja znowu czekam na kolejkę . .

NARESZCIE PRZYDAŁ SIĘ!



Szef: — Słuchajcie Drągal, ile macie wysokości?

—Melduję, że 2 metry i 25 centymetrów!

—To się zgadza, będziecie przydzieleni do strącania samolotów bez pilota . .

PRAKTYCZNI MIESZKAŃCY BERLINA

Przed mleczarnią w Berlinie stoi ogonek. Wśród tłumu widać starszego pana, który w jednej ręce trzyma butelkę na mleko, w drugiej — nocne naczynie. Widzi to policjant. Podchodzi i rzuca pytanie:

—Na co pan czeka?

—Na mleko! . . .

—To poco panu to drugie naczynie?

—A jak dostanę "guzik", to w co wezmę? . . .

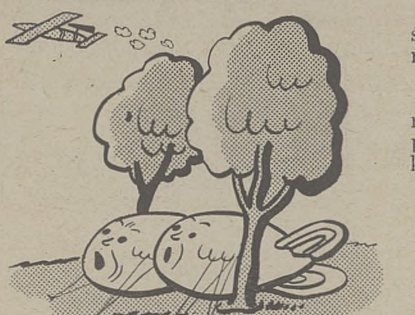
DOBRE STRONY NALOTÓW

—A niech tego Hitlera pokręci! Przez ten jego głupi wynalazek rakietowy, mój mąż się tylko rozpija!

—Dlaczego???

—Pod pretekstem alarmu stale leci do baru . . .

W HYDE PARKU



—Panie kolego, już przeszedł, możemy sobie polatać . . .

"URWIBRZĘK"

Dzięki Karolowi Zbyszewskiemu zrodziło się nowe słowo na określenie latających bomb — "ślepograt". Czy słowo to utrzyma się, okaże przyszłość.

"Werinajsek", jako najbardziej kompetentny organ od spraw latających bomb dorzuca inne propozycje: "Zcichapękł", "Chybiłtrafił", "Warkotnik". "Strachopęd", "Bleffwaffek". "Strachogrzmot", "Buczybzik", "Rakietociąg", "Budzikowiec", "Przerwisen", "Wydmuchowiec", "Psotnikowiec", "Bezsilnik", "Podmuchowiec", "Rąbowiec", "Wrzaskowiec", "Brzękowiec", "Chmurociąg".

Można też sięgnąć do innej beczki: "Urwigzyms" "Wróblostrach". "Urwidach", "Skomlisyn", "Urwitynk", "Gzymsotłuk", "Robiwiatr", "Wybijokno", "Mruczysyn" "Wydmuchszyba", "Pictorpeda", "Frajerrobot", "Wyrwidziad" i "Szybotłuk" lub "Urwibrzęk".

"Szybotłuk" określa chyba najlepiej efekt nowej broni Hitlera.

O CZYM KTO MYŚLI

—Moja droga pani Zosiu, pani zna świetnie ministra Stańczyka, może mi pani ułatwi przyjęcie!

—Ale w jakiej sprawie?

—Wrócił z Ameryki, więc może ma jakąś zbyteczną parę pończoch — przecież to jest nasz minister opieki! . . .

Z DZIEDZINY WYNALAZKÓW



Latawiec-rakietowy . .

PĘD DO "LINII"

—Słyszałem że pan radca wraca do wojska?

—No tak, jeszcze najbezpieczniej człowiek czuje się w linii . . .

BŁOGI SEN

—Wie pan, tej nocy spałem jak zabity!

—Co pan mówi, brał pan środki nasenne?

—Nie, tylko śniło mi się, że zostałem przeniesiony do Szkocji . . .

PRZYŚPIESZONA PRODUKCJA PO WOJNIE



Bocian — rakietowy! . . .

WŚRÓD RODAKÓW

—Muszę panu powiedzieć, że na mnie samoloty rakietowe nie robią najmniejszego wrażenia. Tylko panicznie boję się tych eksplozji! . . .

OGŁOSZENIE NA CZASIE

"Świetna polska kuchnia otwarta przez cały dzień. Sto metrów od autobusu i tylko trzy kroki do *undergroundu.* Jadłodajnia nasza nie leży na linii latających torped".

OSTATNI POCISK "ŚLEPO-GRATA" . . .



Tekst i rysunki: **TONY**

Poszukiwani: Abraham i Inda PELIZ /z domu Baschkin, ur. w Kamieńcu Litewskim/ oraz ich troje dzieci. Ostatni adres: Białystok, ul. Dzika 3.

Uprasza się wszelkie wiadomości kierować do: Lowenheim, 136, Hatherley Ct., Hatherley Grove, London, W.2.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.